

Projekt okładki: Kasper Mączyński  
Opracowanie graficzne i łamanie: Kasper Mączyński  
Redakcja i korekta: Justyna Szumiel  
Zdjęcie Autorki na okładce: Barbara Kanska-Bielakowa

© Wydawnictwo VEDA  
© Inka Dowłasz

ISBN 83-85584-93-5

VEDA Agencja Wydawnicza  
00-020 Warszawa, ul. Chmielna 32 m. 43  
tel./fax: 827-72-83, 827-78-65  
e-mail: veda@veda.com.pl  
www.veda.com.pl

Wydanie I, Warszawa 2006

Wróciłam do moich zapisków jak na miejsce zbrodni. Z myślą, że to, co osobiste, na gorąco uchwycone, może komuś posłużyć. Omijam pewne szczegóły. Chcę zdać sprawę o kims, komu zdarzyło się w życiu zejść z utartej drogi na wyboistą ścieżkę życia po swojemu.

#### *I urzędnia*

Wokół mnie cisza aż w uszach dzwoni, ale nikt mnie nie zapyta, czy wyszłam za mąż. Siedzę w starym wytartym fotelu w moim nowym, wynajętym cudem mieszkaniu i patrzę w okno na fasadę szarego bloku po drugiej stronie ulicy. Jestem w Krakowie. Pogoda słoneczna, nie mogę jednak pozwolić sobie na spacer – wszędzie ten sam widok: dzieciaki, mundurki, dzieciaki, za dużo wspomnień.

#### 4 września

Fizyczny wysiłek dobrze mi robi. Graty z małego pokoiku powynosiłam samowolnie do piwnicy. Urządziłam sobie sypialnię. Powiesiłam swoje zasłony. Właściwie zaczynam lubić te ściany, szary sufit, rozlatujące się meble i stary, wytarty dywan.

Zauważyłam, że jak działam i robię coś konkretnego, to nie myślę bez przerwy o jedzeniu. Nie myślę, o czym nie trzeba – to niesamowite. Udaje mi się nie myśleć!!! Pozwoliłam sobie na rozrzutność i kupiłam jabłek do koszyka, tylko po to, żeby pachniały. Postawiłam słoneczniki – lubię, gdy stoją w dzbanie. Jeszcze nigdy nie odważyłam się namalować słoneczników stojących w dzbanie. Bo co? Bo Van Gogh? Bo nie zrobię tego lepiej? Czy nikt już nie może spokojnie popatrzeć na słoneczniki nie myśląc o Van Goghu? Owszem mogę je sobie namalować tak, jak różne rzeczy mogę zrobić „sobie” i nie przejmować się. Sobie, sobie. Wyjęłam farby i namalowałam na kawałku kartonu dzban i słoneczniki.

Jestem tu dopiero czwarty dzień, a już czuję, że to miejsce jest mi przyjazne. Mogę płacić, co miesiąc, a nie, jak to bywa, za sto lat z góry. Sąsiedzi przyglądają mi się dyskretnie. Przechodząc do windy mam wrażenie, że wszystkie drzwi są lekko uchylone. Nikt mnie tu nie zna. Ja nie znam nikogo. Cudowny stan zawieszania. Piszę, bo taki stan ducha i taki zakręt życiowy może mi się nie powtórzyć.

Mogłabym pomalować ściany, chociaż w kuchni.

#### 4-ta w nocy

Zapaliłam światło. Coś mnie wybiło ze snu. Boję się pisać. Ale coś mi mówi: pisz, co ci zależy, to tylko słowa, pisz. Pisz, nie bój się, pisz. Najwyżej to zniszczysz. Boję się przyznać sama przed sobą, że tęsknię. Chodzisz ze mną po moim nowym, wynajętym mieszkaniu. Jesteś tu i koniec. Struna? Struna to mrzonki. Zrozum Jerzy – muszę kogoś mieć. Muszę być czyjaś. To mogłeś być ty, to miałeś być ty. Owszem Struna podoba mi się, bardzo. Ma to, czego tobie brakuje – męski, zdecydowany charakter. On może sobie wybierać kobiety. I wybiera.

Stop. Zaraz pomyślę sobie swoją charakterystyczną myśl, że jestem niczyja i przeplacę do rana. Stało się. Pomyślałam tę właśnie myśl: „jestem niczyja”. Nikt mnie nie kocha. Możesz powtórzyć to słowo „nikt” ze trzy razy. Wiesz, że to na pewno podziała. Zaraz staną ci przed oczami wszystkie te przepłakane noce, samotne sylwestry i urodziny. Struna mówił, że może być za granicą. Jerzy na pewno już się dowiedział, że wyjechałam. Czemu on jest taki głupi? Wszystko mi się płacze.

*7 września*

Nie dzwonię do mamy, jedynie w myślach sterczę przy telefonie i krzyczę: „Mamo udało się, wygrałam, robię to, o czym zawsze marzyłam!”. A mama? Najpierw będzie głuche milczenie w słuchawce i po chwili jej: „No wiesz, dziecko, jednak powinnaś wyjść za mąż. Cio-cia Stasia mówiła, że kobieta powinna wyjść za mąż przynajmniej na pół godziny”.

Telefon nie odpowiada, ale Struna mówi wyraźnie, że będzie za granicą. W wyobraźni widzę te pięknie położone domy, pełne słońca, i mnie szalejącą, dobierającą kolory, kupującą meble. Zamiast wdychać za Jerzym i śledzić jego żonę mogłam zrobić prawo jazdy. Teraz nie mam za co, no i jest już za późno. Za późno. To słowa, których boję się chyba najbardziej. Kiedy przychodzi mi one do głowy – wszystkie pomysły nagle bledną. Czuję, że jestem sama, stara i bez szans. Przysięgałam w pociągu wykreślić zwrot „za późno”, co mam zrobić – zrobię! Zawsze marzyłam o tym, żeby aranżować wnętrza i będę to robiła!

Jak mogę się do tego przygotować? Jeszcze jeden podręcznik chociażby feng-szui?! Spokojnie. Nikt nie jest doskonały, a ja już mam w tej robocie intuicję. Kocham, kiedy mogę wejść szybkim krokiem, obrzucić jednym spojrzeniem wnętrze domu i właściciela, a potem już nawet bez specjalnego wypytywania, wiem. Wiem co, gdzie, jak. Dopiero potem mierzę, sprawdzam proporcje, oświetlenie. Lubię szybką pracę.

U nas, w Sz. ludzie rzadko potrzebowali czegoś z rozmachem, a jako nauczycielka odstąpiłam swoje.

*10 września*

Siedzę na Rynku pod parasolem i piszę. Lubię patrzeć na ludzi. Poszczególne twarze, poszczególne ubrania, poszczególne nogi, poszczególne – raczej rzadkie – uśmiechy. Ludzie kochają konie, samochody, a ja pokochałam Kraków. Słyszysz hejnał. Patrzę na domy. I czuję się u siebie. Obok siedzi starszy pan. On mnie nie widzi, ja – mogę dokładnie obserwować jego twarz. Mogłabym być z takim panem. Czemu nie? Siwy, patrzy podobnie jak ja – na ludzi. Siedzimy jak w kinie i patrzymy na ludzi. On pije piwo...

*W domu*

Na tym „pije piwo” skończyłam, a teraz siedzę w domu i chce mi się ryczeć z wściekłości. Nagle zobaczyłam go w tłumie. Podbiegłam, zanim zdążyłam pomyśleć. Struna popatrzył na mnie – musiałam nieźle wyglądać. Uśmiechnął się szeroko, ale zaraz potem wzięł mój telefon i pożegnał się.

Przecież podobało mu się wnętrze kawiarni w Sz.! Piał z zachwytu. „Pani się tu marnuje, pomogę pani zaistnieć. Musiałaby pani prze-

nieść się na stałe do Krakowa, ale to nie problem." Po trzech drinkach powiedział: „Kobieto, przed tobą duża przyszłość, a ja będę tym, który będzie dumny: to ja ją wyłansowałem. Działaj dziewczyno, działaj! Kuj żelazo, póki gorące!”. Po siedmiu drinkach – nigdy w życiu tyle nie wypita – całowaliśmy się przy grillu. Powtarzał wciąż, jakim jest szczęściarzem, że mnie spotkał, że tu przyjechał. Że przy mnie nie czuje samotności. A ja podjęłam decyzję w ulamku sekundy: z Jerzym koniec. Niech się mężczy z tą swoją żoną do końca swoich dni. Nawet miałam ochotę iść pod ich dom i to wykrzyzczyć. Nawet poszłam pod ich dom. Nawet szarpnęłam jego wypielegnowaną furtkę, kopnęłam samochód. Włączył się alarm. Ktoś zapalił światło. Słyszałam tylko: „Jakaś pijana baba, wyłącz alarm, zadzwonię po policję”. „Dzwon” – wybelkotałam i powlokłam się do domu. Ale to nie koniec. Moja mamusia nigdy nie położy się spać, jeśli nie ma mnie w domu! Ale tym razem się położyła. Gdy już zasypiałam, otworzyła drzwi, zapaliła górne światło i wrzeszczała. Głównie chodziło jej o to, że zostanę prostytutką, że całe miasto widziało, jak się całowałam z tym podstarzałym amantem, rzekomym przyjacielem Kazia. Wykrzykiwała, że jestem pośmiewiskiem, a nie pedagogiem, że przeze mnie ją boli wątroba i coś tam jeszcze, że wdałam się w swojego tatusia. Nie myślałam o niczym, poza tym, jak jest szybki obieg informacji w tej miejscinie.

Po co ja to wspominam?

#### Noc

Prawda jest taka, że mój domek z kart... Jaki domek? Kiosk. Jaki kiosk? Mój klozet z kart runął. Kolejny raz – nie pierwszy, ale przysięgam, że tym razem to ostatni – całe swoje życie opieram na jakiejś mrzonce, na jakimś nie wiadomo czym. A na dodatek pieniądze wprowadzę się do Struny albo wynajmę lepsze mieszkanie. No i co? Spójrz w lustro. Masz 34 lata, jesteś sama jak palec. Przez ten niesławny romans z Jerzym potraciłam kontakty ze studiów. Co ja mam robić? Wracać do mamusi, siedzieć na kanapie i rozmyślać o tym, że jestem starą panną?

#### 15 września

Pamiętam jak przez mgłę „Dziesięć dni, które wstrząsnęły światem” o rewolucji sowieckiej. Ile potrzeba, żeby wstrząsnąć całym życiem kobiety? Ulamek sekundy. Przepłakałam całą noc i pół dnia, następnie pół przesiadziałam w jakimś odrętwieniu. A potem, w jakimś transie, zabrałam się do wypisywania ogłoszeń. W nocy porzlepiłam po mieście: „Sprzątam po remontach, tanio i szybko”, „Okna myję, tanio i solidnie”. Mama nauczyła mnie myć okna, a myła je wtedy, kiedy były zupełnie czyste. *Zawsze* jednak poznała, czy rzeczywiście myła te czyste okna, czy nie. Okien u nas było dużo

– dom o wiele za duży, jak na dwie samotne kobiety. Wahałam się, ale napisałam też drugie ogłoszenie: „Zaopiekuję się dzieckiem”.

Bałam się ruszyć do sklepu, żeby nie przegapić oferty, a skończył mi się papier toaletowy. Tkwiłam przy telefonie, otwierałam lodówkę, bez przerwy coś jadłam.

Niestety. Nic. Koniec. Dno. Co ja jeszcze mogę robić? Najgorsze są dudniące mi w uszach słowa matki: „A nie mówiłam, od razu było wiadomo, że nic z tego nie będzie”. Mogę wrócić do mamusi, mogę nawet dostać z powrotem pracę w szkole. Roztyje się całkowicie od tych jej wybornych ciasteczek. Szeff powiedział: „Zycze pani szczęścia, ale proszę pamiętać, że miejsce dla pani zawsze znajde”.

#### 22 września

Nie wiem, dlaczego to zrobiłam, ale zrobiłam. Sekretarka spytała grzecznie, kogo ma zaanonsować. Usłyszałam, że zwraca się do niego per „panie doktorze”, zrobił doktorat... Roman wyszedł natychmiast. Pierwszy raz zobaczyłam go w garniturze. Objął mnie: „Patrycja, to ty? Dobrze wyglądasz”.

Powiedziałam mu bez owijania w bawełnę, że przeprowadzam się do Krakowa i że szukam pracy. Już nie był taki wesoły. Sama wiem, że mój dyplom WSP to nie dyplom no i nie mam dwudziestu lat, żeby zaczynać. Sama to wiem.

O tym, że mi pomoże szukać pracy nawet nie wspomniał. Już przy drzwiach powiedział, że jak mi zabraknie pieniędzy, to mogę bez skrupowania u niego pożyczyć. Pożegnał się, bo go gdzieś wzywano.

Do domu wracałam piechotą. Szłam i było mi głupio. Bez pracy bez pieniędzy, bez męża.

#### 25 września

Telefon milczy. Nikt nie czyta ogłoszeń na słupach. Nie wiem, co mnie wczoraj napadlo – poszłam do wróżki. Wszystko stało się nagle jasne. Jerzy to kawał drania, który nigdy nie opuści żony, chociaż mnie kochał. Kocha i tęskni, nawet chce mnie odwiedzić, ale nie ma adresu. Mama jeszcze kogoś pozna. Boże, co za ulga!!! A ja będę bardzo szczęśliwa, bardzo bogata i sławna! Podkreślała w kółko, że przyjedzie jeden krajowy, drugi zagraniczny, i ja mam tej okazji nie przepuścić. A na dodatek nie wydała mi reszty – od osoby bogatej wzięła więcej.

Byłam tak wściekła, że pomyliłam autobus. Wsiadłam daleko za miastem, nie miałam ani biletu, ani na bilet. Szłam na azymut i płakałam. Prawie nikogo nie było na ulicy, ale i tak bym się nie powstrzymała.

Nawet zaczęłam prosić, jak dawniej w podstawówce przed klasówką: „Święta Patrycyjo, pomóż mi!”. Do tej pory nawet nie wiem, czy jest święta Patrycja.

Jakimś cudem odnalazłam moje osiedle. Po raz pierwszy od dawna poczułam prawdziwą radość – radość powrotu do domu. Przed drzwiami sięgnęłam do kieszeni i zrobiło mi się zimno. Zgubiłam klucze.

Nie mogłam pojechać do gospodarzy po zapasowe – późno i co sobie pomyślą. Poszłam piechotą na dworzec. Dworzec to straszne miejsce, kiedy się nigdzie nie chce podróżować. Gdyby mnie nie podkusiło, żeby iść do tej idiotycznej wróżki. Gdyby, gdyby, gdyby. Nigdy nie lubiłam gdybać i teraz nie będę, pomyślałam, i wsiadłam do pociągu. Pojechałam na gapę do Wieliczki. Gdyby moi uczniowie widzieli, jak gonię w ciuciubabkę z konduktorami. W Wieliczce ciemności i zimno przenikliwe. W pociągu o tym nie myślałam – nie znałam drogi. Do Adama jeździło się autobusem albo jego rozklekotanym maluchem. Sama nie wiem, jak udało mi się tam trafić. Szłam przez jakieś pola, przez jakieś bruzdy i było mi wszystko jedno, czy gdziekolwiek dojdę. A kiedy się przewróciłam, to przyszło mi nawet do głowy, żeby już tak zostać. Dopiero jak pomyślałam, że chłopci znajdą mnie wiosną i Adam pomyśli, że to z miłości do niego, poderwałam się i ruszyłam przed siebie. Jakoś udało mi się wejść na jego podwórko od strony stodoly. Zapukałam do okna. Cisza. Żeby zaczęły mi dzwonić. Przypominałam sobie, że kiedyś udało mi się odgiąć gwoździکی w szybcie i wejść. Chyba nie będzie mi miał tego za złe. Adam Podszedł z tytu i odezwał się

niespodziewanie – Patrycja, to ty? Wprowadził mnie do ciepłej, przytulnej izby i kazał od razu wejść do łóżka. Przygotował dwie wielkie pajdy świeżego chleba ze smalcem domowej roboty, a potem skulona usnęłam.

Rano zawiózł mnie pod dom. Na szczęście okno balkonowe było uchylone. Adam wdrapał się na balkon. Potem jeszcze wymienił zamek w drzwiach, naprawił uszczelkę w łazience, uruchomił odkurzacz i pojechał na uczelnie. Umówiliśmy się, że zrobimy spotkanie starego grona.

Wykąpałam się, i z radością wskoczyłam do mojego odzyskanego łóżka. Usiłowałam zasnąć – nie mi z tego nie wychodziło. Zrobiłam kawę, zabrałam się za pisanie. To dziwne, zawsze wolałam rysować. Jak już było ze mną bardzo źle, brałam farby i malowałam. Myślałam raczej obrazami i układanie myśli w słowa przychodziło mi z pewnym trudem, ale teraz pisanie jakos mi służy.

Ktoś zadzwonił. W drzwiach stała sąsiadka – listonosz zostawił u niej paczkę dla mnie. To mama przysłała mi placek i wełniany sweter. Kochana mama.

Sąsiadka powiedziała, że u mnie tak cicho, że to się wszystkim podoba i tak po prostu spytała, co ja robię. Powiedziałam, że zajmuję się dekoracją wnętrz. Zapytała, czy mogłabym spojrzeć na jej łazienkę. Wprowadziła mnie do ciemnej, pomalowanej do połowy zieloną farbą olejną małej blokowej łazienki. I od razu zauważyła, że na flizy nie ma pieniędzy.

– Co by pani powiedziała, gdyby z tej zieleni, wyrastały pod sufit słoneczniki?  
Sąsiadce pomysł się bardzo spodobał, ustaliliśmy, że jej to zrobię po znajomości. Ona tylko kupi farby.

Zmierzyłam łazienkę, sprawdziłam grunt. Będę musiała odkuć tynk. Sąsiadka powiedziała, że to może zrobić jej syn. Wolałabym robić wszystko sama od początku do końca. Zamknęłam się w pokoju i z radością wzięłam się do rozrysowania projektu. To dobry znak, dobry początek. Byłam tak zatopiona w myślach, tak skoncentrowana na pracy, że nie słyszałam telefonu. To Majka – dowiedziała się od Adama, że jestem w Krakowie. Unikam starych przyjaciół w obawie przed pytaniem: „co u ciebie?”. Mam taką wizję w głowie, że wszyscy są jakoś ustawieni, jakoś żyją, tylko ja płynę pod prąd. To przykre uczucie pojawia się zawsze, kiedy myślę o starych znajomych. Wolę poznawać nowych ludzi, dla których moja sytuacja nie będzie dziwna, którzy żyją i myślą podobnie jak ja. Gdzie ich szukać?

#### 27 września

Telefon. Z ogłoszenia. Przystałam już myśleć o tych moich karteczkach na słupach. Mycie okien: „Jutro pani odpowiada?”. To nowe wyzwanie. Pani magister bądź co bądź staje do pracy jako sprzątaczką. Kapitalizm.

#### 28 września

Rano, tuż przed moim wyjściem z domu, zadzwonił Jerzy. Skąd miał numer? Telefon zostawiłam u Kazika w Biedronce, tak mi kazał Struna. Kazik i Jerzy nie lubili się, wręcz unikali swojego towarzystwa. Ustyszałam tylko: „bardzo tęsknię”, „bardzo cię Kocham”. Tyle wystarczyło, żeby zburzyć cały mój spokój. Powiedziałam, zgodnie z prawdą, że spieszę się do pracy i odłożyłam słuchawkę.

Wzięłam swoje narzędzia, szmaty poskładałam w kosteczkę – to powinno zrobić dobre wrażenie na mojej chlebodawczyni. Gumowe rękawiczki, walkman i ruszyłam na spotkanie przygody.

Drzwi otworzyła mi starsza pani, uśmiechnięta od ucha do ucha, trochę podobna do Shirley MacLaine. Bardzo jej się podobało, że jestem tak dobrze przygotowana. Nawet coś takiego powiedziała, że na zachodzie studentki pracują gdzie się da. Wzięła mnie za studentkę: „tak pani młodzieńko wygląda”. Zabrałam się do pracy. Pani Maria pochwaliła mnie za drzwi balkonowe. Migiem umyłam okna, wyczyściłam wannę, powynosiłam butelki. Poszłam nawet wykupić recepty, a kiedy wróciłam, czekał na mnie obiad. A przy obiedzie była rozmowa, a po obiedzie herbata i szarlotka!

Opowiedziałam jej o sobie, a nawet o tym, że w chwili, kiedy odchodziłam z Sz., wszystko wydawało się jasne i proste. Że ludzie patrzą

na mnie jakoś tak dziwnie, jakbym jechała samochodem pod prąd.

– Ależ to bzdura, moje dziecko! Człowiek zaczyna wtedy, kiedy musi zaczynać. A po wojnie? Ludzie byli przecież w różnym wieku. Zaczynali od zera, kształcili się.

Mówiła z przekonaniem, że dopnę swego. Przytoczyła mi kilkanaście przykładów ludzi, którzy zaczęli od zera – moje zwycięstwo stawało się bardziej oczywiste.

– Będę się chwaliła, że miałam taką sławną sprzątaczkę. A Kraków przyciąga. Ja, po śmierci męża, przyjechałam tu z trzyletnim dzieckiem. Wynajmowałam pokój na poddaszu w słynnej Kossakówce, lało się z sufitu, ale co z tego?

Uściskałyśmy się jak dwie przyjaciółki, dostałam kilka telefonów. Pani Maria dała mi stowę i powiedziała, że ma szczęście, bo moje ogłoszenie znalazła na chodniku. Ona ma szczęście?!

Odrzuciłam się, zapomniałam o Jerzym. Pani Maria dała mi jeszcze na drogę trochę jajek ze wsi i dwa kabaczki.

Z kabaczkami w plecaku przemierzyłam Rynek, zajrzałam do księgarni.

#### *1 października*

Telefony pani Marii wypaliły prawie wszystkie! Chociaż inni nie płacą tak hojnie jak pani

Maria, muszę na razie to zrobić.. Zadzwoń mi podziękować. Zaprosiła mnie w niedzielę na obiad! Przyznaję, że ten mój nowy zawód sprzątaczkę wymaga ode mnie pokory. To niesamowite – odczuć na własnej skórze inny rodzaj odnoszenia się do mnie. Ludzie mają coś innego w oczach patrząc na sprzątaczkę, coś innego w rozmowie z nauczycielką ich dziecka. Przyzwyczaiałam się już do tego, że jestem traktowana z pewną uwagą, z pewną dozą szacunku, a nawet wzbudzam respekt. Teraz to się zmieniło. Dzwonię, ktoś otwiera mi drzwi, omiata wzrokiem, w którym jest coś takiego, że mam ochotę zrobić w tył zwrot. Jednak zaczęłam lubić ten moment przed drzwiami, nigdy przecież nie wiem, kto mi otworzy.

Wypracowałam sobie już małe zawodowe satysfakcje. Mycie szyby to teraz dla mnie przecieranie mojej własnej świadomości. Szyby u starszych osób bywają czarne – nie tak jak u mojej mamy. Ten moment, kiedy mogę ujrzeć widok za oknem w pełni jego barw, nazywam sobie „radosnym przebudzeniem”. Ludzie cenią mój profesjonalizm. A nawet to, że nie zasiadam z nimi na kawkach i herbatkach. Jedna pani wręcz powiedziała mi, że woli sama sprzątać, bo nie lubi zabawiania sprzątaczek głupawymi rozmowami.



*3 października*

Chudnę bez żadnej diety. Pieniądzy ciągle mało. Spędza mi to sen z powiek. Mogę pożyczyć. Mogę naruszyć moją rezerwę na czarną godzinę. Aż mnie w dolku ściska, gdy o tym myślę. A na dodatek dziś mam wolne. Muszę coś zrobić, bo mnie dopadną złe myśli. Chociaż tak naprawdę, jestem z siebie dumna. Gdybym kiedyś miała tę mądrość co teraz, zdawałabym na architekturę wewnątrz do skutku. Uczyłabym się języków. Wyszłabym za... No, Patrycja, co się tak jękaś? Zaden ci nie pasował i zostałeś starą panną. Jeśli nie odłożę tego pisania. Jeśli nie zrobię czegoś. Jeśli zaraz nie wyjdę z domu. Podjęłam decyzję. Zostawię portmonetkę w domu i pojadę do IKEI – szkicować meble i rozwiązania.

*4 października*

Mam na mieszkanie. Wyratował mnie Adam. Zadzwonił z pytaniem, czy nie poszłabym do jego znajomej. Poszłam. Okna, sprzątanie i pilnowanie jej córki do wieczora – 150 PLN.

Kobieta w moim wieku, chuda jak patyk, dobrze ubrana. Wydała dyspozycje:

– Adam powiedział, że mogę mieć do pani pełne zaufanie. To dobrze, bo sobie nie ufam.

Po południu przyszła córeczka. Rzuciła plecak, powiedziała mi cześć, włączyła głośno muzykę i telewizor. Coś do mnie mówiła – ani

drgnęłam. Stałam akurat na oknie, porządnie wychylona – złapała mnie za nogę.

– Masz mi dać obiad i masz za mnie odrobić lekcje.

– Nie.

Włączyła telewizor. Włączyła muzykę.

– Przecież jesteś tu służącą, moja mama ci płaci!

Dokończyłam myć okno. Zeszłam najwolniej, jak się dało. Postawiłam wiadro na ziemi. Zdjęłam rękawiczki.

– Nie jestem tu, mała lafiryndo, dla twojej wygody, rozumiesz?

– A po co?

– Jestem tu dla twojego bezpieczeństwa!

– No właśnie. Zrób mi obiad, bo powiem mamie i cię zwolnię!

– Proszę. Obiad jest ugotowany. Weź go sobie, a ja czuję się zwolniona od zaraz.

Zaczęłam energicznie szykować się do opuszczenia mieszkania. Zawołała mnie, kiedy byłam już przy wyjściu. Gdyby tego nie zrobiła, musiałabym wykręcić kota ogonem i zostać.

– Przepraszam cię, ty jesteś fajna.

– Ja też cię przepraszam.

Zmusiłam ją do tego, żeby usiadła przy lek-

cjach. Zauważyłam, że nie umie czytać. Nic nie

umie. Faktycznie najlepszym rozwiązaniem

byłoby zrobić za nią, napisać lewą ręką w zeszytach. Ona wątpiła, czy ja umiem to zrobić.

– Umie. Skończyłam studia.

– A mama powiedziała, że jak się nie będę uczyć to będę sprzątać po domach.

– Potrzebne mi są pieniądze. Chcę spełnić swoje marzenie. Chcę pracować jako dekorator wnętrz.

Mała bezczelna twarzą nagle spoważniała. Zalała mi pracę! Zadzwoń do koleżanki, porozmawiaj z jej mamą, przypomnij jej, że szuka kogoś, kto ciekawie wykończy łazienkę. Umówiła mnie!

Wieczorem zmusiłam ją do położenia się do łóżka. Kazała mi opowiadać o mojej mamie, o moim domu, o mojej decyzji.

– Ja też kiedyś ucieknę, daleko, ale z moją mamusią.

#### 6 października

Dzień poniekąd uroczysty. Idę do mojej wymarzonej pracy. To dla tej pracy opuściłam wygodny dom i wygodne życie. To dla tej pracy skazałam siebie na przeżywanie tych przykrych sytuacji jako sprzątaczkę.

Zadziałało pośrednictwo Małej Lafiryndy, jak ją w gniewie nazwałam. Skąd ja znam to starswieckie słowo? To moja mama – nie mówiła inaczej o żonie ojca do swoich koleżanek. Bo do mnie mówiła: „piękna Klara”. A ja myślałam, że ją uduszę.

Mój debiut nie był jednak wyzwaniem, o jakim marzyłam. Przyszło mi zmierzyć się z poża-

się Boże łazienką w starym budownictwie, a na dodatek... transakcja miała być wiązana. Pani Kora, trochę upozowana na Hinduskę, zaproponowała mi mianowicie, że ja „coś zrobię z tym pobjowiskiem”, a ona mi to częściowo spłaci, a częściowo odpracuje. Wprowadziła mnie do pokoju, gdzie na środku stał stół do masażu. Skończyła socjologię, była bez pracy, robiła kursy, założyła gabinet. Nie może pracować bez łazienki. Całe pieniądze, jakie miała, poszły na wymianę starej instalacji. Zniszczone kafelki. Zaproponowałam, żeby uzupełnić te zniszczone miejsca farbami. Przyszło mi do głowy, że ciekawe byłyby jakieś motywy orientalne. Jej się to bardzo spodobało. Tylko że nie na tym nie zarobię. Zaproponowałam też, że można z obszernej kuchni bardzo prostym sposobem zrobić poczekalnię. Razem przesunęliśmy stary kredens, powyciągała bibeloty, lampkę.

Ustaliliśmy, że pod koniec mojej pracy ona zrobi mi masaż. Nie bardzo mi to pasowało. Wolę popływać w basenie, niż leżeć plackiem i pozwolić, żeby mnie ktoś wałkował.

Właściwie, to jestem wściekła, że się na taki układ zgodziłam. Łatwo powiedzieć – motyw orientalny. Potrzebuję pieniędzy, a nie klepania po tyłku. Swoim zwyczajem, chciałam się jednak przypodobać. Komu? Tej Małej Lafiryndzie, która mnie wcisnęła prosto w objęcia Mory? A może to jakaś lesbijka i pod pozorem masażu będzie mnie molestować? Zdecydowanie odmówię. To postanowienie jakoś mnie uspokoiło.

*8 października, noc*

Piszę, chociaż mam wrażenie, że nigdy nie zajrzę do tych gryzmołów. Po prostu nie mam do kogo mówić, więc piszę. A dzień był ciekawy. Po pierwsze, gdy wymyśliłam, że całą łazienkę zrobię jako „Narodziny Siddharthy”, opanowała mnie gorączka pracy. Kwiatki, ryby, motywy oceaniczne – to już malowałam w różnych łazienkach, na różne sposoby. Zadzwońłam, że się spóźnię: trochę mam za mało błękitu paryskiego i skończyła się złota farba, a prze-sympatyczny, zawsze uśmiechnięty jegomość otwiera swój sklepik o dziesiątej. Odkryłam go przypadkowo, włączając się po Krakowie.

Nakupowałam farb i wzięłam się do roboty. Klęczałam kilka godzin. Nawet nie zauważyłam, że mi nogi zdrętwiały. Zastanawiałam się głównie nad tym, skąd ja wiem, co mam malować? Czy to można nazwać natchnieniem? Mora wróciła do domu wieczorem razem z córką i Małą Lafiryndą. Dziewczynki wrzeszczały zachwycone. Kora też była zadowolona. Kiedy się dowiedziała, że jutro skończę, była uradowana i zaskoczona, że tak szybko to zrobiłam.

Wykapałam się, dała mi swój szlafrok, usiadłyśmy w kuchni. Zdziwiła się, że nie tknęłam przygotowanego obiadu – kiedy pracuję, zapominam o bożym świecie.

*9 października*

Pierwsze prawdziwe zlecenie. Nie po znajomości. Za pieniądze.

Drzwi otworzył mi rosły dżentelmen, pewnie ode mnie młodszy. Uśmiechnął się i zaprosił do środka. Powiedział, że ma mało czasu, ale jak skończę, to pogadamy. Był trochę ryży – nie rudy, ryży. Jaka to różnica? Łazienka była całkowicie zrobiona. „Czego on sobie życzy? Pokazał mi sufit. „Proszę mi namalować to” – przyniósł kolorową fotografię: naga piękność z rozlewającymi się na boki ciekami. Przejechałam palcem po ścianie. „Muszę zrobić nowy podkład. Farby kupię sama. Gdzie jest drabina? Ze trzy dni to potrwa, potem kilka dni przerwy, wykończenie. Jeśli pan pozwoli, będę to miała przy sobie.” Pożegnał się, dał mi klucze i poszedł. Rozejrzałam się po mieszkaniu: lodówka pusta, dwa piwa i butelka jakiegoś świństwa. Zmierzyłam dokładnie łazienkę, zrobiłam szkic i wyszłam.

Drzwi naprzeciwko lekko się uchyliły – ach, te sąsiadki...

*10 października*

Dzień, ponury, deszczowy, źle się czuję. Zadzwońłam, że muszę po niektóre farby pojechać do Katowic.

W nocy oglądałam film Marty Meszaros. Minłam potem kolorowy sen, że siedzimy ra-

zem, we dwie, w samolocie. Bardzo chciałam lecieć, ale nie miałam biletu. Ona powiedziała, że też leci bez biletu.

Poranek zapowiadał się ponuro, ale nagle zza ciężkiej chmury wyszło słońce. Jasność sprawiła, że wstałam z łóżka i usiadłam na balkonie. Nagle, patrząc na piaskownicę, gdzie bawią się dzieci, a mamusie plotkują siedząc obok, przyszło mi – jak zwykle – do głowy, że one płyną z prądem życia, a ja brnę pod prąd. Że to się nie może dobrze skończyć.

Pamiętam, jak chodząc ulicami mojego miasta, jeszcze w szkole średniej, projektowałam kolorowe elewacje, sadziłam drzewka na balkonach i na dachach domów. W mieszkaniach u znajomych, w wyobraźni odświeżałam stare tapety i dywany.

Postanowiłam już, że jak zbiorę trochę pieniędzy, zrobię remont, chociaż, jak gospodarz to zobaczy, wynajmie drożej komuś innemu.

Powinłam jeszcze dorobić pewne rzeczy u Kory, powinłam rozrysować tę gołą babę na kartonach. Nic mi się nie chce. Słyszałam o takich ludziach, którzy potrafią tylko walczyć, a jak już dopną swego, zaczynają popełniać błędy, zawalają pracę i ładują na starych śmieciach. Mam nadzieję, że mnie to nie dotyczy. Chociaż? Dlaczego akurat dziś robię wolny dzień? Czy naprawdę źle się czuję? Mogłam w nocy rozrysować babę i zabrać się do pracy. Może to moje ciało domaga się tego, żeby zwolnić? Zauważyłam, że w tym zabieganiu coraz mniej myślę

o Jerzym, coraz rzadziej wraca do mnie uczucie wstydu i upokorzenia incydentu ze Struną. Jednak zabiorę się do szkicowania.

#### 11 października

Bladym świtem zerwałam się i pojechałam do pracy. Grunt okazał się dobry, oszczędziło mi to kilkunastu godzin pracy, kilograma pyłu w płucach i dźwigania wiader z gruzem. Uświadomiłam sobie, że mój klient nie zapytał, ile to będzie kosztowało. Bez przerwy gadała sekretarka: „Halo Sany, siedzimy z Renatą u niej, jest bosko, może dołączysz”. Sany będzie szczęśliwa, jak zobaczy na ścianie swoje cycki. Siedząc na kiblu zjadłam kanapki. Popiłam kranówką – zapomniałam kupić czegoś do picia. Spojrzałam na zegarek. O tej porze siedziałabym teraz w mojej części mieszkania, albo u mamusi, z siódmym kawałkiem jej wybornego placka i rozmyślałabym o tym, jak schudnąć. Albo o tym, co on teraz może robić i walczyłabym ze sobą, żeby po raz kolejny nie zadzwonić i nie odłożyć słuchawki bez słowa.

Z roboty jestem nawet zadowolona. Nie wiem tylko, czy klient będzie zadowolony. Nagrały mu się ze cztery różne paniutki. Najlepsze było w pewnym momencie: „Józik, jesteś tam?! Jalówka się ociełiła, muszę ją sprzedać albo bić. Przyjedź chociaż na godzinę”.

Czekam, aż uda podeschnąć i piśnie.

### 12 października

Wczorajszy dzień zakończył się późno. U Kory spędziłam dwie godziny – malowałam szaty i brązy poszycia leśnego. Kora w pewnym momencie kazała mi już skończyć. Wykapałam się w zrobionej przeze mnie łazience, w wodzie pachnącej pomarańczą. Zaprosiła mnie do pokoju ze stołem do masażu. Wszystko było przygotowane, płonęły świece. Kiedy potem, w trakcie cudownego masażu przy muzyce, przypomniały mi się moje wcześniejsze obawy, że ona może czegoś ode mnie chcieć, trzęsłam się ze śmiechu, a Kora powiedziała, że to bardzo dobrze, że puszcza napięcia. Cudowne uczucie, że ktoś się mną zajmuje. Powrót do tych szczęśliwych chwil dzieciństwa, kiedy się było bezpiecznym w ramionach mamy.

Kora zachęcała, żebym została na kolacji, ale chciałam jak najprędzej położyć się i zasnąć.

### 13 października

Z lekkością pracowałam nad „Narodzinami Siddharthy” od wczesnego rana. Ten pomysł przyszedł mi do głowy w związku z filmem „Mały Budda”. Jest coś głęboko urzekającego w tamtej kulturze. Liczenie się z człowiekiem.

Człowiek. Czasem ogarnia mnie tęsknota za drugim człowiekiem tak bezbrzeżna, że mam ochotę wyc głośno, nie bacząc na to, czy mnie ktoś słyszy. W filmie książę Siddhartha wstał

z pięknego łoża, ucałował małżonkę, popatrzył z miłością na synka i zniknął z jej życia. Historia milczy o jej bólu. Czy ona wybaczyla? A dziecko?

Dziwne myśli przychodziły mi do głowy przy malowaniu łazienki Kory.

Wieczorem poznałam Weronikę. Przyszła do Kory na masaż. Bardzo podobała jej się łazienka. Dużo mówiła o ścieżce buddyjskiej. Machając pędzelkiem myślałam słowo „ścieżka”. Nie droga, tylko ścieżka. Przyjemnie jest myśleć, że podąża się ścieżką właśnie. Ścieżka. To znaczy, że ktoś już ją wydeptał i on wie, dokąd ta ścieżka prowadzi... Weronika przyjechała tu z Meksyku. W pewnym momencie przyszło jej do głowy, że powinna mieszkać w Krakowie. Jest Polką z Warszawy. Nie ma tu żadnej rodziny. Usiadła na taboreciku w łazience i gadałyśmy. Bardzo ładnie mówiła o kobietach, o cierpieniu, o dochodzeniu do własnej pozycji i godności.

### 14 października

Od rana kończyłam biust i włosy. Po południu przyszedł Józik. Od progu powiedział, że jest bardzo zadowolony, chociaż nie widział jeszcze ostatecznego efektu. Wręczył mi, nie pytając o cenę, tysiąc złotych. A potem nastąpiło to, czego bardzo nie lubię. Zaprosił mnie, żebym usiadła. Zrobił kawę, położył na talerzyku

paluszki i wyjął z lodówki butelkę białej wódki. Nie chciałam mu robić przykrości. Chętnie wyszłabym do domu i miała go we wdzięcznej pamięci.

- Pani to jest inna.

Po godzinie udało mi się umknąć. Józik wypił ze trzy kieliszki. Powiedział nawet, że z taką kobietą jak ja, to by się chętnie ożenił. Na koniec, kiedy już wychodziłam, spytał nagle, czy go pocałuję. Głupia sytuacja. Zażartowałam, że musiałby mnie najpierw poprosić o rękę. Z pieniędzmi w torebce frunęłam do domu. Moje prawdziwe, zarobione pieniądze! To dziwne, ale stojąc w szkolnej kasie po moje pobory, nigdy nie odczułam takiej satysfakcji, takiej radości zarabiania. Po drodze kupiłam wiaderko farby i prawie od progu zabrałam się do malowania pokoju. Niech mnie gospodarz wyrzuci. Lubię mieszkać w otoczeniu, które jest takie, jak ma być.

*15 - 16 października*

Może ja jestem nienormalna? Czego mi brakuje? Dlaczego nie mam domu, rodziny, dziecka? Nawet się podobam, ale zawsze coś jest nie tak. Na tych rozważaniach skończyłam poranny rachunek sumienia, bo zadzwonił telefon. Józik bardzo prosił mnie o przyjazd. Poprawki? Coś nie tak? Zimno mi się zrobiło. Może za drogę policzyłam i teraz będzie mnie prześladował?

Może ten grunt okazał się zły? Może cycek odleciał? - poprawiałam go trzy razy...

Spakowałam cały warsztat. Ubrałam się w zestaw najbardziej oficjalny, czyli spodnie, żakiet i biała bluzka. Pantofli nie mogłam wciągnąć - wczoraj spadł mi młotek na nogę. Pojechałam w adidasach. Wparowałam od razu do łazienki. Wszystko było na swoim miejscu. Nieszczęsny cycek się trzymał. Nie byłam miła. Józik zaczął się jękać, że „sama pani rozumie”. Co rozumiem, nic nie rozumiem! Wyciągnął fotografię innej pani i poprosił, czerwieniąc się jak burak, żeby poprawić.

Wrzasnęłam, że nie lubię przeróbek, chociaż na dobrą sprawę wystarczyłoby domalować włosy i troszeczkę inaczej wyprofilować nos. Zaczął mnie błagać. Wyjął dwie stowy i spytał, czy wystarczy. Zgodziłam się. Siedział w pokoju - bardzo tego nie lubię. Lubię być sama, kiedy pracuję. Gdy skończyłam, powiedział, że jest zadowolony i usiłował nawiązać rozmowę. Zapytał, czy się napiję. Przypomniała mi się ta „jałówka”. Na koniec spytał, czy może mnie odwiedzić do domu, „bo to ciężkie, a pani taka krucha”. Czemu nie? Zniósł bagaże na dół. Już na miejscu, pod moim domem, wyciągnęłam rękę: „Patrycja” - „Józef”. Przypomniało mi się „Halo, Sany”. Gdybym nie miała takiego bagażu, to bym go zaprosiła, wyraźnie na to czekał.

Ledwie wróciłam, ledwie zdążyłam włożyć skulęczoną nogę do miednicy z wodą - telefon.

Myslałam, że padnę – to był Struna. Zaczął jak gdyby nigdy nic. Powiedziałam, że mam dużo zleceń i jakoś nikt nie mówi, że mam niewłaściwy dyplom. A on udawał głupiego albo zapomniał o całej sprawie. Zapomniał, jak mnie wystraszył do wiatru. Zapomniał, że mi obiecywał wspaniałą pracę w swojej firmie. Zapomniał, że to dla niego rzuciłam wszystko i przenieśliśmy się do Krakowa. Zamiast tego powtarzał w kółko, że bardzo się cieszy, że jestem taka wspaniała i że muszę się z nim spotkać. Właściwie, co mi szkodzi. Umówiliśmy się wieczorem na kolację w Hotelu pod Różą. Nie mam co na siebie włożyć a na dodatek noga puchnie mi coraz bardziej... Zadzwoniłam do Majki, ale ona zaleciła, żeby nie przejmować się i iść w tym, w czym się dobrze czuje. Ona może sobie na to pozwolić, jej uroda przyćmi każdą kieckę. A ja? Pojechałam taksówką do ciuchlandu, wygrzebałam czarną sukienkę: prosta, obcisła, którą musiałam – niestety – wyprać. Suszyłam na zmianę żelazkiem i suszarką do włosów. A buty? Rozplakałam się. Nie idę!

To zostań, na zawsze. Zostaniesz starą panną, będziesz młócić w kółko te same zgorzkniałe myśli i będziesz z nienawiścią patrzyła na te wszystkie młode dziewczyny i będziesz żalowała, jaka byłaś głupia. Włożyłam rajstopy. Wcisnęłam jakos obolałą nogę do pantofla i pojechałam taksówką.

Na szczęście już czekał, na szczęście stolik był niedaleko. Ściągnęłam buty i zupełnie nie

wiem, o czym mówiliśmy – ból był po prostu wściekły. Uśmiechałam się i nawet było mi czegoś do siebie. Struna okazał się nie tylko przystojnym, ale i inteligentnym człowiekiem. Był dowcipny, zabawiał mnie jakimiś anegdotkami – żadnej nie pamiętam. W pewnym momencie chciałam się o nim czegoś dowiedzieć, zbywał mnie inteligentnymi ogólnikami. Gdy spytałam go, „co to za firma?“, ostro odpowiedział, żeby prawdziwego mężczyzny nigdy nie pytać o jego interesy. Bardzo mi się to spodobało – ja też nie lubię wścibstwa, zwłaszcza ostatnio. Dodałam więc, że prawdziwej kobiety nie należy nigdy pytać, czy już wyszła za męża. Kiedy poszedł zapłacić, jakimś nadludzkim wysiłkiem udało mi się wcisnąć but na spuchniętą nogę. Wpakował mnie do swojego BMW z czarnymi szybami, i nawet nie zapytał, gdzie mieszkam. Zażartował, że jestem porwana i zrobiło się jakoś... dziwnie.

Mam za małą wprawę w opisywaniu tego, co się zdarzyło. Wolę zapisywać myśli albo po prostu pisać tak długo, aż uspokoją się emocje. Tylko że potem to pisanie nadaje się do wyrzucenia. W książkach zawsze nudziły mnie opisy przyrody. Interesowały mnie tylko „momenty” i tak już zostanie. Mnie się jednak „te rzeczy” nie układają w słowa. Dojechalśmy do jakiegoś domu. Szczyt bezgłusca, połączony nadmiarem wydanych pieniędzy. Nikogo tam nie było. Powiedział, że mnie tu przywiózł, bo kolega go poprosił o konsultację odnośnie zago-

spodarowania piwnic. Zdjęłam buty, zesłaliśmy do tych piwnic. Zaczęłam po swojemu od poruszania się, chociaż prawie nic nie było tam widać a ja... nie byłam trzeźwa. Zapytałam, czy ta piwnica ma być przeznaczona na ziemniaki na zimę, czy na pralnię. Zaczął się śmiać. Zartował, że to ma być bardziej romantycznie i objął mnie swoimi ciężkimi ramionami. Przypomniało mi się wszystko: zapach jego perfum, grill w Sz., spacer między jodłami. I od razu pomyślałam, że nie wzięłam pod uwagę takiej ewentualności i że mam na sobie byle jaką bieliznę... Przeleciało mi to przez głowę, a on niósł mnie już po schodach na górę. Spytałam, czy mogę wejść do łazienki. Chciał się wpakować za mną, ale ze śmiechem zatrzasnęłam mu drzwi przed nosem i weszłam pod prysznic. Nie można było się zorientować, kto jej używa – wszystko tu było jakieś nowe, jak w hotelu.

Co tu dużo mówić, jestem kobietą i lubię to. Struna zasnął prawie momentalnie. Tego nie lubię. Zrobiło mi się głupio. Wstałam, wzięłam buty do ręki i wyszłam na ulicę. Nie wiedziałam, gdzie jestem. Dowlokłam się, kuśtykając, do autobusu i trzy razy przesiadając się dotarłam do domu. Byłam zmęczona, wściekła, rozbita. Ledwo zmorzył mnie pierwszy sen – telefon. Mam za krótki kabel i muszę za każdym razem zrywać się i gonić do korytarza. To on. „Dlaczego cię nie ma?” Wymyśliłam, że nie było wody, kiedy wychodziłam z domu i przypomniało mi

się, że nie zakręciłam kranu, zalało mi łazienkę i właśnie skończyłam sprzątać.

Zameldował, że będzie u mnie za chwilę. Pierwsza moja myśl – co powie sąsiadka. Rzuciłam się do upychania ciuchów do szafy. Sterta książek spadła mi na bolącą nogę. Chciałam iść trochę pozmywać, ale już był!

– Pierwsza sprawa, to trzeba cię przeinstalować do innego lokalu.

Spodobała mu się moja sypialnia i powiedział, że teraz to on na pewno nie zaśnie i zrobiło się cudownie.

Chciał zostać, ale go wygoniłam. Stałam na balkonie i patrzyłam, jak odjeżdża. „Zadzwoń jutro”, powiedział.

#### 21 październik

Nie dzwoni już tydzień. Ja to mam pecha. Wszystko jest pięknie, a potem on z niewiadomych powodów znika. Przecież mu się nie narzucałam, nie dzwoniłam, nie szukałam go. Wszystko mi leci z rąk.

Na szczęście mam coraz więcej zleceń. Biorę wszystko: i sprzątanie, i dekorowanie – muszę mieć jakąś rezerwę pieniędzy.

Nienawidzę takich sytuacji i zawsze muszę się wpakować w jakiś pasztet. Na dobrą sprawę nie o nim nie wiem, prowadzi jakieś bliżej nieokreślone interesy.



22 października

Udało mi się przestać czekać na Strunę, już sobie to jakoś ułożyłam w głowie. Trudno, została oszukana. Aż tu właśnie dziś zadzwonił wcześniej rano jakiś mężczyzna i powiedział, że jest od Struny, że Struna jest za granicą i bardzo przeprasza, że się nie zgłasza, a on ma zlecenie i że może po mnie przyjechać. Odmówiłam – co sobie sąsiedzi pomyślą? Podziękowałam, powiedziałam, że przyjadę taksówką.

Nawet nie miałam ochoty się ubrać w mój odświętny zestaw.

Mieszkanie było w starej kamienicy: ogromny pokój i łazienka, kuchnia przylegająca do pokoju. Właściwie ruderka. Mężczyzna w średnim wieku, nienagannie ubrany, przyjemnie uśmiechnięty. Speszylałam się, nie wiem dlaczego. Nie lubię sytuacji, kiedy muszę swój niewłaściwy wygląd nadrabiać miną. Na szczęście głowę miałam umytą i włosy porządnie ułożone. Od razu przystąpił do rzeczy. Powiedział, że wszystko mu jedno, co ja tu zrobię. Położył na stole plik pieniędzy i powiedział, że firma płaci. Dał mi klucze od domu i powiedział, że jeśli chce, to oczywiście mogę tu zamieszkać, bo on będzie potrzebował tego mieszkania nie częściej, niż raz w miesiącu, że pracuje w terenie. Potrzebuje tego mieszkania głównie po to, żeby się przebrać. Uśmiechnął się głupawo – nie wiem, co to miało oznaczać... Wydał mi się nawet sympatyczny. Ale nawet nie przyszło mi do głowy, żeby zapytać o Strunę. Kiedy po-

szedł, przeliczyłam pieniądze. Nie powiedział, ile z tego to moje honorarium. Biznesmen – nie ma co do tego wątpliwości. Tylko dlaczego instaluje się w takiej ruderze? Może się właśnie rozwodzi.

Zabrałam się za szkiecowanie mieszkania. Łazienka poza tym, że była brudna, właściwie nadawała się do użytku. Stare przedwojenne kafelki, piękny piec, który ogrzewał jednocześnie kuchnię. Biznesmen wrócił. Powiedział od progu, żeby nie bawić się w żadne flizy, żadne tego rodzaju duperele. „Struna mówił, że pani wie, o co chodzi.” Połowa tej kasy to moje honorarium. Już wiedziałam, że to dużo za dużo. Decyzja szefa. Poszedł.

Pieniądze wpłaciłam na konto. Poszczęściło mi się, a Struna nie okazał się świnią.

Pojechałam taksówką do IKEI, szybko zdecydowałam, co będzie tam potrzebne. Mam wrażenie, że mój biznesmen nie gustuje w ozdobach – szafa, wygodna kanapa, stół, dwa fotele, dywan, dwie lampy: stojąca i górna. Kuchnię załatwię w innym sklepie, z łazienką się wstrzymam. Strzeżę mu jakieś ornamenty, żadnych rybek, żadnych roślinek.

Wróciłam z powrotem, zadzwoniłam do firmy przewozowej Dreptuś i wytransportowaliśmy stare meble. Było mi trochę żal, bo kredens to prawie antyk.

W domu usiadłam przy herbatce i zrobiłam zakupy, jak to ma wyglądać. Zmieniłam zdanie. Do niego będzie pasowało trochę baroku,

zrobię „Raj”. Zadowolona położyłam się spać. Objęłam poduszkę i... Może jednak Struna mówił prawdę? „Już ja cię nie wypuszczę.” Sama wiem jak to jest, gdy się zabieram do roboty, świat przestaje dla mnie istnieć. Może on tak samo? Nie zapytałam, czy mam wystawić rachunek. Kiepska sprawa, coraz więcej pracuję i powinnam otworzyć działalność. Nie mam w Krakowie stałego zameldowania. Dotychczas to jakoś tak szło. Nawet gdyby, to po zapłaceniu ubezpieczenia nie starczy mi na mieszkanie i na życie.

#### 23 października

Jak to przyjemnie obudzić się rano i mieć gotowy plan. Lubię wiedzieć, że mam robotę. Kocham pracować. Robi się coraz zimniej. Muszę pojechać do mamy po ciepłe rzeczy. Życie staje się proste.

#### 24 października

Wizyta w domu. Mama wygląda dobrze. Na szczęście praca w bibliotece jest jej życiową pasją. Lubi czytać – ona dosłownie pochłania książki. Ludzie przychodzą do niej pogadać, pomaga dzieciakom w polskim, jest użyteczna. Nawet mnie za bardzo nie wypytywała, co u mnie. Przyznała, że ładnie wyglądam.

Spytałam nawet, czy mnie odwiedzi. Dopiero wieczorem zrobiła pauzę. Jerzemu urodziło się dziecko.

Nie mogę mieć żalu do mamy, ale w jej milczeniu był wyraźny wyrzut:

– A ty?

Nie wiem, co mnie napadło. Nie miałam siły udawać, że mnie to nie boli. Powiedziałam, że jestem głęboko nieszczęśliwa jako kobieta. Trochę przesadziłam, bo aż tak głęboko nieszczęśliwa się nie czuję. Ale są takie chwile, kiedy człowiek wyrzuca z siebie setki słów, które nie wiadomo gdzie się lęgną, a potem sam wierzy, że to prawda. Dlatego żałowałam tych słów, mimo że mama mnie przytuliła, nawet powiedziała, że jest ze mnie dumna, że tak świetnie sobie radzę. Ona nie wie, jak bardzo potrzebuję tych jej słów. Przytuliła mnie jak dawniej. A na koniec powiedziała:

– Może jednak, dziecko, wrócisz tu do pracy?

Zatrząsłam się i zaczęłam wrzeszczeć. Już nie pamiętam dokładnie co. W tym krzyku było napięcie i niepewność, co do tego, czy prawdę mi się uda. Czy dam sobie radę, czy moje zamierzenie to nie jakieś szaleństwo? Mama słuchała w milczeniu, a potem powiedziała tylko:

– Wiesz, jakie są teraz czasy.  
– Sama mnie uczyłaś, kiedy byłam mała, że w każdych warunkach człowiek musi robić swoje. Mówiłaś, czy nie?

Byłam tak zdesperowana, bo czułam, że mój świat pod naporem jej słów rzeczywiście może się zawalić.

– To były inne czasy.

– Mamol!!!

Mama wyszła zagniewana i przybita. Nie zasnę, siedzę i piszę. Jerzy, dziecko. Przecież to on mnie szukał. Gorączkowo zapewniał o swojej miłości. Muszę coś zrobić. Muszę mu coś udowodnić. Czułabym się lepiej, gdyby ktoś teraz ze mną był. Struna. Czy ja go kocham? Czy ja mogę planować z nim wspólne życie? Mam jakieś silnie ugruntowane uczucie, że na niego nie zasługuję. A może Struna też jest zony? Zrobiło mi się zimno. O tym nawet nie pomyślałam. Wszyscy mnie zawiedli, wszyscy opuścili. Czuję, że już się nie podniosę nigdy.

#### *W pociągu.*

Rano byłam na siebie wściekła. Nieprzespana noc. Wyglądam okropnie. Czuję, że moje własne myśli ważą we mnie tonę, a może i więcej. Przypomniało mi się, jak Struna mówił, że nie ma nikogo. Nie wygląda na oszusta.

Po drodze na dworzec spotkałam Kazika. Wolalam, oczywiście, nikogo w takim stanie ducha nie widzieć. Powiedział, że mój wystrój Biedronki bardzo się podoba, że mnie poleca. Patrzył na mnie jakos tak... dziwnie. A może mi się zdawało?

Pociąg do Krakowa jedzie dwie godziny, ale dla mnie to była wieczność.

#### *W domu*

Powrót niemiły. Pozamykane okna, czułem stęchliznę. Nie zdążyłam posprzątać, garnki w zlewie. Ciemno. Ołowiane niebo. W pierwszej chwili chciałam iść do łóżka: I co? Plakać?

Przebrałam się w moje robocze dresy. Zaczęłam od pozmywania naczyń, potem poszły podłogi, łazienka. Tak się rozszalałam, że wyprałam firanki, a nawet – nie bacząc na chłód – umyłam okna. Potem powiesiłam firanki i weszłam zadowolona do wanny. Zadowolenie, myślałam w tej wannie. Zafundowałam sobie cudowny stan zadowolenia.

Wyrwał mnie z niego dzwonek do drzwi – sąsiadka przyniosła mi kawałek placaka drożdżowego, jest mi wdzięczna za te słoneczniki w łazience:

– Mamusi podobałyby się bardzo, ale już nie widzi.

Dowiedziałam się, że ta starsza pani o lasce, której czasami pomagam wejść do windy, była kiedyś wielką damą. Podróż poslubną odbyła nad Loarę, bywała w kasynach w Monte Carlo. Z majątku na Wołyniu pozostała tylko wyblakła fotografia i wspomnienia.

Sąsiadka poszła, siedzę przy kawie. Nie mogę pojąć, że ja też przemienię.

26 października

Nieoczekiwanie spadł pierwszy śnieg. Ubrałam się ciepło i poszłam na Planty. Postanowiłam obejść je całe dookoła. Delikatna warstwa bielusińskiego śniegu pokryła dookoła wszystko: drzewa, dachy. Jest mi lekko, dobrze. Mam pracę. Struna się nie odzywa. Może on... Taki przystojny... Nigdzie nie brakuje kobiet... Po co mi ta myśl? Dlaczego nie mogłam od chwili, kiedy pomyślałam o Strunie, czuć bieli tego śniegu w sobie? Dlaczego nie mogłam być jak te drzewa przy Plantach? Dlaczego ja muszę wszystko tak strasznie i z bólem czuć? Zmieniłam zdanie. Biel osnieżonych Plant pogorszyła moje samopoczucie. Poszłam do Muzeum Matejki. Lubię tam przychodzić. Mam w szkicowniku rozrysowane wszystkie rozwiązania wnętrza. Lubię wyobrażać sobie, jak tu było, kiedy ten dom tętnił prawdziwym życiem.

Wieczorem czułam się straszliwie samotna.

27 października

Nie wiem, co mnie napadło. Pomyślałam sobie, że ja tęsknię, wzdycham, a on ma nową panienkę i jest szczęśliwy. O nie! Jeszcze dziś, natychmiast postanowiłam kogoś poderwać. Koniec. Już nigdy za nikim nie będę tęsknić! Już nigdy nie będę wyczekiwać na żaden telefon.

42

Ubrałam się w moją czarną sukienkę z lumpeksu i ruszyłam. Zimno. Akurat w BWA był wermisaż. Niesamowity tłum. Chodziłam z kieliszkiem w garści i patrzyłam na mężczyzn. Nikt na mnie nie zwracał uwagi. Nie ma już na tym świecie ani jednego wolnego mężczyzny! Wszyscy pozajmowani. Dużo młodzieży. Nic nie wyszło z mojego głupiego zamiaru, a na dodatek czułam się skompromitowana, wydawało mi się, że wszyscy – oczywiście – wiedzą, po co ja tu przyszłam. Przecisnęłam się przez tłum do szatni.

– Patrycja... To ty?

Odwrociłam się, ale nikogo znajomego nie było.

Ubrałam płaszcz, kiedy ktoś do mnie podszedł:

– Przepraszam, pani profesor...?

Patrzyłam w twarz młodego człowieka. Wydała mi się owszem, ujmująca, ale zupełnie obca.

– Pani mnie nie uczyła. Byłam w maturalnej klasie, kiedy pani przyszła do naszej szkoły.

Dopiero po tych słowach rozjaśniło mi się w głowie. Zobaczyłam szkolny korytarz w Sz. i jego roześmianą od ucha do ucha, trochę zbyt pulchną, twarz.

– Wiktor? Zmieniłeś się. Wyprzystojniałeś.

Uśmiechnęłam się na wspomnienie tamtych jego korytarzowych zalotów. Wiktor dał mi swoją wizytówkę i poprosił o mój telefon, ponieważ „musimy się spotkać”. Chciał jeszcze

43

coś mówić, ale pociągnęła go jakaś ruda panienka i nie omieszkała mnie obrzucić spojrzeniem, które czuję na sobie do tej pory.

Nie jest źle, pomyślałam, skoro ruda tak na mnie patrzy.

– Piękna pani profesor! Czy można zapytać, czego pani uczy?

Przedemną stał postawny mężczyzna, w bliżej nieokreślonym wieku. Zaczęliśmy rozmawiać o wystawie, o sztuce, o karierach młodych ludzi o rozwoju duchowym. Cudownie się gadało. Powiedział, że jak będzie się urządzał w nowym domu, poprosi mnie o fachową pomoc. Wziął mój telefon, powiedział, że musimy koniecznie jeszcze umówić się i porozmawiać, że cudownie się ze mną gawędzi, że jestem taka mądra. Wręczył mi swoją wizytówkę i jak się pojawił, tak zniknął. Jeszcze gdzieś z oddali pomachał mi Wiktor. Gdyby nie to, że postanowiłam kogoś poznać, uznałabym pewnie wieczór za całkiem udany.

5 listopada

Mieszkanie „Tajemniczego” prawie skończono. Kupiłam w sklepie ze starymi meblami lustro (kosztowało majątek) do łazienki na boczną ścianę, będzie ją wydłużało. Moja kompozycja „Raju” całkiem, całkiem udana. Może się tu jednak wprowadzę? Majka zaproponowała, że mogę u niej nocować w czasie, kiedy on będzie

przyjeżdżał. Zawsze chciałam mieszkać w Starym Krakowie, w obrębie Plant.

Takie, mniej więcej, myśli krążyły mi po głowie, kiedy wchodziłam na drabinę w łazience. Dziury w ścianie nie dało się wywiercić, natomiast odkryłam tajemniczy – pewnie jeszcze z czasów okupacji niemieckiej – schowek. Po dwóch godzinach mordęgi zobaczyłam coś. Nie powinnam tego pisać, może ta moja baczność wpaść komuś w ręce, ale muszę to w jakiś sposób z siebie wyrzucić. Tam w schowku leżała prawdziwa broń, nie policzyłam, ile tego było... To nie była skrytka z czasów okupacji!!! W co ja się wpakowałam? Nienagannie ubrani dżentelmeni. Dobre samochody. Zamknęłam starannie schowek, lustro postawiłam w korytarzu, zabrałam wszystkie moje rzeczy, musiałam zostawić odciski palców i „Raj” na ścianach łazienki z wyraźnym wskazaniem na moje autorstwo. Nawet pomyślałam przez chwilę, czy tego nie zamalować. Zamknęłam mieszkanie i wyszłam na ulicę. Chciałam od razu iść na policję. Pierwsze pytanie, jakie padnie, będzie dotyczyło tego, co robiłam w tym mieszkaniu. Gdzie jestem zameldowana itd. Zostawiłam plecak i torbę w domu i pojechałam prosto do Sz. Kazik był w Biedronce. Od razu zauważył, że coś jest nie tak, wciągnął mnie do biura.

– Pamiętasz, tego człowieka na otwarciu Biedronki?

– Struna. Całowałaś się z nim.

– Kazik, przestań, sprawa jest poważna.

– Oczywiście, że tak. Patrycja, ty dobrze wiesz, ile dla mnie znaczysz, od podstawówki. Ja ciebie uważałem za świętą!

– Przestań. Co o nim wiesz?

– Prawie nic. Przyjeżdża, zabiera haracz. Wypija piwo.

– Jaki haracz? Kazik, co ty do mnie mówisz?! Czy ja wlażam w sam środek amerykańskiego filmu?! Poznałam go w twojej knajpie, dlaczego ty mnie nie uprzedziłeś?!

– A co, może miałem cię klepnąć po ramieniu, przerwać upojny pocałunek i powiedzieć, że gość jest z mafii?!

– Z jakiej mafii?! Mnie się to wszystko chyba śni?!

– A mnie, niestety, nie.

Nie powiedziałam Kazikowi o moim odkryciu.

Chciałam wracać do Krakowa, ale i tak ktoś mnie widział, mamie byłoby przykro. Ucieszyła się niezwykle, bo śniłam jej się w nocy, była niespokojna. Nawet nie zauważyłam, jak zjadłam pięć kawałków szarlotki. Zrobiło mi się niedobrze. Spytała, czy przypadkiem nie zostanie babcią.

Mama chciała mnie koniecznie zatrzymać, ale mnie coś gnało do Krakowa. Prosto z pociągu poszłam do Kory, powiedziałam, że straciłam mieszkanie. Przenocowałam u niej na stole do masażu. Rano fryzjer ściął moje gęste loki i ufarbował na czarno.

– Zupełnie inna twarzyczka.

O to mi właśnie chodziło. Kupiłam okulary. Nie znoszę chodzić w okularach. W takim przebraniu wróciłam do mieszkania. Sąsiadka myślała, że to nowa lokatorka – nie jest źle. Zadzwoiłam do gospodarza, że muszę wyjechać. Powiedział, że od lat wynajmuje mieszkanie, ale nie trafił mu się jeszcze ktoś tak kulturalny i spokojny jak ja. I ktoś, kto ma powiązania z mafią zapewne też nie. Umówiliśmy się, że przywiezę mu klucze i pieniądze.

Pakowanie zajęło mi sporo czasu. Dlaczego człowiek tak szybko obrasta różnymi przedmiotami? Przypomniało mi się, jak likwidowałam mieszkanie po babci. Pielęgowane były zarówno rzeczy, które kosztowały, jak i te zupełnie bezużyteczne, ale zachowane, „bo się mogą przydać”. Wnosiłam je całymi naczami z myślą, że ja nigdy nie dopuszczę do zostawienia po sobie takiej rupieciarni. A to, co naprawdę po niej mam, noszę w sobie. Poświęcała mi czas, opowiadała o Powstaniu Warszawskim. W Pruszkowie spotkała ciotkę i przyjechała z nią do Sz.

Ogarnęła mnie prawdziwa gorączka, jak w filmie kryminalnym. Teraz, kiedy to zapisuję, chce mi się śmiać, ale nie wtedy. Wymyśliłam, że jak on zadzwoni, to rzucę słuchawką, wezmę torby, wjadę na ostatnie pietro windą – tam jest długi korytarz, którym przejdę do ostatniej klatki i ucieknę.

Zadzwonił telefon, ale to tylko Józik. Powiedziałam, że do niego wpadnę i wykonam po-

prawki, ale cycki muszą zostać takie same, bo już grunt nie wytrzyma. Spytałam też, czy może jakiś czas przechować moje rzeczy, bo straciłam mieszkanie. Powiedział, że bardzo chętnie i przyjechał po mnie.

W swoim domu był jakiś dziwny. Może się bał, że ja się do niego wprowadzę? Przemalowałam twarz i włosy, reszta musiała zostać taka sama.

- Tynk odpadnie, nie wytrzyma już ani jednej przeróbki.

- Ja też.

Powiedział to z taką żałością, że pogłodziłam go po policzku. I natychmiast tego gestu pożałowałam.

- Ty byś za mnie nie wyszła. Ty musisz mieć kogoś ekstra.

- Józiek - powiedziałam tak samo jak jego matka, - lubię cię i życzę ci jak najlepiej. Nie każdy pasuje do każdego, nic na to nie poradzimy.

Mogłam zostać u mamy, wskoczyć do swojego łóżka i zastanowić się, co dalej. Czy dobrze zrobiłam? Może to był rzeczywiście skład brońi z czasów okupacji? Coś mnie ciągnęło, żeby tam wrócić, obejrzeć to jeszcze raz. Nic nie przychodziło mi do głowy, do wieczora miałam jeszcze trochę czasu.

Pojechałam na miasteczko studenckie. Rusycyzm, przecież do miasteczka. Wszyscy mówiliśmy właśnie „na miasteczko”. Usiadłam w holu akademika i czekałam na tę dziewczynę

z długimi włosami w dżinsach, która szybkim krokiem przejdzie do windy. Czekałam na siebie. Czy byłam wtedy bardziej szczęśliwa? Czy wiedziałam o tym, że to beztroskie lata i że miną bezpowrotnie? Właściwie, po co tu przyjechałam?

- Patrycja, to ty?

Przedemną stała elegancka kobieta w skórzanym płaszczu.

- Jolka?

Uściskałyśmy się serdecznie. Jolka rozwozi lekarstwa do aptek, a tu, gdzie kiedyś był klub studencki, jest teraz apteka. Jolka wpakowała mnie do swojego auta i zabrała do siebie do domu. Gadałyśmy prawie przez całą noc. Rozwodzi się, małżonek - niezłe prosperujący przedsiębiorca - popadł w uzależnienie: prochy, lekarstwa, alkohol. Dwoje dzieci. Opowiedziałam jej swoje dzieje, wątek Struny opuściłam. Ona powiedziała, że może mnie wpuścić na jakiś czas do mieszkania jej babci, mogłabym z nią zamieszkać. Szczęściara jestem!!!

Poszłam do babci Jolki. Miła siwa pani, uśmiechnęła się do mnie, wprowadziła do pokoiku za kuchnią, gdzie stało rozklekotane łóżko i powiedziała, że to będzie moja służbówka. Dobre i to, pomyślałam w pierwszej chwili, i zaczęłam w wyobraźni ją urządzać. Mieszkanie było obszerne. Ona zajmowała ostatni pokój w amfiladzie. Od razu powiedziała, że jak będzie czegoś potrzebowała, zadzwoni. Usiadłam na tym łóżku, może bym

nawet usnęła po całej nocy z Jolką, ale usłyszałam dźwięk takiego normalnego, pasterskiego dzwonka. Poszłam zapytać, czy nic się nie stało. Była zdziwiona moim pytaniem. Wręczyła mi jadłospis. Już dokładnie nie pamiętam, co tam było, ale na pewno było słowo pularda i trufle. Wręczyła mi kartkę zasmarowaną kaligraficznym pismem i wyjaśniła, że przecież daje mi mieszkanie w zamian za wyżywienie i opiekę.

Starsza, miła pani czeka pewnie na ten wyśławny obiad do tej pory.

Siedzę w barze i usiłuję zapisać wydarzenia ostatnich dni. Kołaczą mi się po głowie słowa „byt”, „podstawa bytu”. Dach nad głową i pieniądze. Oplaty, jedzenie, ubranie. Mam dom w domu mojej matki, mogę tam wrócić: do jej placów, jej obiadków, mogę tam spokojnie dożyć emerytury zmieniając diety i patrząc w lustro z coraz większym obrzydzeniem. Po studiach myślałam, że wrócę, coś sensownego zrobię i co? Ugrzęzłam jak w błocie, w lepkiej mazi ustabilizowanego „nie da się”.

Dziś nie cieszy mnie nawet Rynek. Patrzą przez szybę na ludzi, którzy bez troski sobie chodzą. „Bez trosko”, „sobie” – ja to oczywiście wiem! A ja muszę – za to, żeby tu właśnie być, żeby chodzić po tych ulicach, żeby patrzeć na perspektywę tych starych uliczek – ja muszę płacić taką wysoką cenę.

7 listopada.

Wczorajszy dzień i noc mogę spokojnie zatytułować „dno”. Wieczorem wpadłam na genialny, jak mi się wydawało, pomysł. Pojechałam do Wieliczki, do Adama. Był w domu, nawet się ucieszył. Opowiedziałam mu o wszystkim. Dla niego było jasne, że to nielegalny handel bronią.

– Jak odkryje, że tam zajrzałaś...?

A zakończył:

– Zawsze taka byłaś.

– Jaka?

– Naiwna i po męsku odważna.

On niczego nie rozumie, nie pojmuję, że ja ciągle szukam, że pragnę jak niczego na świecie stałego związku, że te moje przygody to tak naprawdę nie są przygody, że ja za każdym razem mam nadzieję, że za każdym razem daję z siebie wszystko.

Adam zrobił kolację – te jego cudowne pajdy wiejskiego chleba ze smalcem domowej roboty. Lyknęliśmy po kielichu. Kazał mi wziąć do łóżka, bo zimno. Już zgasił światło. Tak, chyba zgasił. Ktoś zapukał w szybę. Adam wyszedł przed dom. Wrócił, a z nim jakaś zmarznęta dziewczyna. Może jego studentka? Udawałam, że śpię. Adam wiedział, że udaję. Rozłożył jej materac. O mnie powiedział „to moja dobra znajoma, przyjaciółka ze studiów”. I tak trwaliśmy, przez długą noc. Adam miał dziwny wpływ na kobiety. Nie był ani specjalnie przystojny, ani też nie był specjalnym podrywaczem. Cały jego



urok, to może ten dom na odludziu, i to, że był konsekwentnym kawalerem? Jakos żadna nie może zakotwiczyć tu na stałe.

Rano dziewczyny już nie było. Adam nie był w dobrym nastroju. Ja zaczęłam rozmowę, zapytałam, kto to był i wyraziłam przypuszczenie, że dziewczyna jest zakochana. On uważa, że kocha się w tym romantycznym miejscu, bo chce uciec od głupiego świata i swoich głupich kolegów na studiach.

Adam odwiózł mnie do miasta. Zajechaliśmy pod dwupiętrowy dom, kazał mi poczekać w samochodzie. Wrócił i powiedział, że mogę tu przez jakiś czas mieszkać. Potem pojechał ze mną do Józika po rzeczy i wniósł je na górę.

Moja nowa gospodyni jest studentką. Mogę mieszkać w pokoiku bez mebli. Muszę kupić materac do spania. Trzeba palić w piecu, węgiel trzeba oszczędzać. Myślę, że się polubimy. Joanna nie chciała wypuścić Adama. Prosiła, żeby został, że zjemy razem obiad. Ten to ma szczęście.

Mam nowy materac do spania. Józik pomógł mi go przywieźć. Kupiłam też komórkę. Całe popołudnie Józik uczył mnie ją obsługiwać. Napaliłam w piecu. Joanna wyszła na zajęcia. Zrobiło się miło.

8 listopada

Czuje się strasznie. Czemu ja to zrobiłam? Przecież mi się kompletnie nie podoba. On był taki szczęśliwy, że nie miałam sumienia nie powiedzieć. Jestem na siebie wściekła. Poprosiłam, żeby dał mi trochę czasu.

Właściwie to czemu nie? Jestem sama, on też.

Biegłam na spotkanie z Józkiem i właściwie byłam zdecydowana, że postąpię rozsądnie. On samotny, ja samotna, razem będzie nam różnie. Na ulicy wpadłam na Wiktora. Rozjaśnił się, wyściskał mnie serdecznie, spytał, czy musi mówić do mnie „pani profesor”. Powiedział, że ma do mnie sprawę, ale ja bardzo się śpieszyłam. Dałam mu numer komórki i pobiegłam. Józik czekał z bukietem czerwonych róż. W trakcie wystawnego obiadu (odzwyczaiałam się od takiego obżerania), odebrałam komórkę. Wiktor zaproponował, że mi zrobi kolorowy folder po kosztach własnych. Świetny pomysł! Józik chciał koniecznie zaprosić mnie do siebie. Jakos nie uśmiechało mi się towarzystwo tej gołej damy w jego łazience. Poszliśmy do mnie. Nie wiem, co Joanna sobie o mnie pomyśli. Józik jest tak szczęśliwy, że zaczyna mi się jego prostota w wyrażaniu uczuć udzielać. A jednocześnie wiem, że sama siebie okłamuję, że to nie to. Wiktor zadzwonił drugi raz, że powinien mieć fotografie moich prac i szkice i koniecznie moją fotografię. Zaproponował, że mi robi.

Wróciłam z kuchni, a Józik przepytał mnie, kto to i po co dzwoni. Wspomniałam o folde-rze. A on:

– Jak za mnie wyjdiesz, nie będziesz musia-ła się tak męczyć, będziesz panią.

– Józik... ja za ciebie nie wyjdę.

Sama nie wiem, dlaczego tak po prostu to powiedziałam.

– Tak ci się tylko wydaje. Nielatwo wyjść za mąż po trzydziestce.

W pierwszej sekundzie się zaśmiałam. Ale tylko w pierwszej sekundzie:

– Coś ci doradzę – zabieraj swoje pantalone i zjeżdżaj, ale to już!!!

Zupełnie nie rozumiał, o co mi chodzi. On naprawdę myślał, że powiedział dobry żart. Nie chciałam słuchać jego wyjaśnień, rzuciłam tylko mokrym od wody bukietem róż, na który się wykosztował.

#### 10 listopada

Chciałabym zapomnieć o tym incydencie z Józkiem. Najgorsze jest to, że on ma rację. Może coś jest ze mną nie tak? Może to widać gołym okiem? Może każdy to widzi, tylko mnie się wydaje, że wszystko jest w porządku? Wczoraj, gdy wracałam z pracy, widziałam jego samochód pod moim domem. Dzwonił trzy razy. Komórka wyświetla jego numer. Joanna mówi, że był tu i wypytywał o mnie, był bardzo miły.

#### 11 listopada

Wiktor zabrał mnie do Tyńca. Szliśmy ścieżką wzdłuż dzikiego brzegu Wisły, ja przodem, od czasu do czasu wołał głośno, a jak się odwracałam robił zdjęcie. Był bardzo zadowolony, powiedział, że dobrze mi w tych krótkich włosach, że wyglądam lepiej niż wtedy w szkole. Wróciliśmy tą samą drogą na dziedziniec klasztorny. Akurat w porze chorałnej modlitwy. Dawno nie byłam w kościele. Kościół w małym mieście to miejsce, gdzie musisz się pokazać ze względu na ludzi. Co innego tutaj – puste wnętrza. Męskie wyrobione głosy. Po raz pierwszy od dawna moje serce wypełnił spokój. Takie ciche nic.

#### 15 listopada

Zrobiło się ciepło i słonecznie. Wyszliśmy z Joanną do parku, drzewa już prawie оголо-не, słońce na policzkach. Gadałyśmy o mężczyznach. Ona uważa, że Józik jest naprawdę zakochany. Mówi o nim z sympatią. Kiedy wracałyśmy, przed domem zobaczyłam jego samochód. Chciałam zrobić w tył zwrot, ale Joanna mnie powstrzymała. Józik na wstępie powiedział, że już o naszych sprawach nie myśli, że chciał tylko zapytać, czy mogłabym obejrzeć wnętrze hangaru na Bagrach, bo jego kolega chce tam zamontować restaurację i hotel. W pierwszej chwili chciałam odmówić, ale przypominałam

sobie, ile mam pieniędzy i wsiadłam do samochodu. Jechaliśmy w milczeniu. Nad jeziorem było znacznie chłodniej niż w mieście, zrobiło mi się zimno. Tego człowieka jeszcze nie było. Czekaliśmy. Nic do siebie nie mówiliśmy. Zapropnowałam, że obejrzę wnętrze, bo może przez ten czas już coś mi przyjdzie do głowy. Józek powiedział, że słusznie i otworzył hangar, a ja ruszyłam swoim zwyczajem do przodu. Właśnie budowałam romantyczną antresolę, kiedy mnie zawołał. Odwróciłam się.

– Albo do mnie wrócisz, albo już stąd nie wyjdziemy – ani ty, ani ja.

Wyjął z kieszeni nóż i zaczął zbliżać się do mnie. Pomyślałam tylko: „Święta Patrycjjo, pomóż!”. Nagle opanował mnie jakiś nadludzki spokój. Patrzyłam prosto w ostrze i słowa same się ze mnie wylewały. Już dokładnie nie pamiętam, co mówiłam. Rundy były ze trzy. Coś mówiłam, chował nóż, zabierał się do całowania. Odsuwałam się, wyjmował nóż. Znow wymslałam coś, nie pamiętam co, i tak trzy razy. Zrobiło się ciemno. Leżałam na stercie brudnych żagli, przygwożdżona jego ramieniem i nie wiedziałam, co mogę zrobić. Zadzwoił telefon. Nie pozwolił mi odebrać. Joanna wie, że jestem z nim, mogłaby zadzwonić na policję. Do głowy jej to nie przyjdzie, może za tydzień. Było mi zimno i powoli zaczynało mi być obojętne, czy się stąd wydostanę. Zapytałam go o jego rodzinę. Rozgadał się, nawet płakał. Jego ojciec pił, był nocnym stróżem

w tartaku. Przychodził do domu nad ranem, prawie zawsze pijany, i kładł się do czystej, wykrochmalonej przez matkę pościeli. Spał cały dzień. Wieczorem wkładał wyprasowaną przez nią koszulę i wychodził. Dobre było to, że się specjalnie nie awanturował. Potem Józek powiedział, że mu przypominam jego siostrę, tylko że ona nie jest taka dobra. Nie wiem, co to miało znaczyć. Postanowiłam go rozkrochmalić zupełnie na wigilijnych wspomnieniach. Powiedziałam, że nigdy nie mogłam się doczekać, żeby postuchać, czy nasz pies będzie mówił ludzkim głosem. Trafiłam – Józek rozgadał się na dobre. Opowiadał o pastwisku, o tym jak matka wysyłała go paść krowy, o paleniu ognisk jesienną, o muzyce. Grał całkiem niezłe na skrzypcach, ale nie było mowy, żeby posłać go do szkoły muzycznej.

– Józek, cała się trzęsę, mogę być chora!

Powiedział, że nigdy do tego nie dopuści i że zawiezie mnie do domu. Jechaliśmy. Opuściłam hangar żywa, ale co dalej? Czy on jedzie do swojego domu, czy do mnie? Może wyskoczyć z auta? W filmie to się udaje. Mogłam skończyć na wózku. Nagle coś mi strzeliło do głowy:

– Józku, ja ci nie powiedziałam czegoś o sobie. Tylko nie wiem, czy mogę być szczerą.

– Jasne, Pat mów.

– Widzisz... ja... mam... poważny problem... alkohol.

Zjechał na pobocze. Zatrzymał samochód i wrzasnął na całe gardło:

– Czemu ja mam takie głupie szczęście?!

Walnął głową w klakson. W tym momencie wyskoczyłam. Nie zatrzymał mnie, nie gonił. Taksówką wróciłam do Joanny. Nie mogła uwierzyć. W końcu wysnuła wniosek, że on mnie tak bardzo kocha. Nie umiałam jej wytłumaczyć, że kocha swoją drogą, a groził mi śmiercią swoją drogą – czyli jest nienormalny. Trzęsłam się prawie do rana.

#### 27 listopada

Długo nie pisałam. Już nawet nie wiem, czy kiedykolwiek pozbięram te zgubione wątki w jedną całość.

Leżę w szpitalu. Zbyt późno zauważyłam, że coś jest nie tak. Było mi słabo, wieczorami miałam gorączkę, ale pracowałam. Kolorowy folder z moim zdjęciem okazał się celnym strzałem. Miałam trochę nowych zleceń. W tym jedno, które muszę koniecznie tu opisać.

Zadzwoił ktoś w sprawie łazienki. Powiedział od razu, że to ma być coś extra. Nie ma sprawy. Drzwi otworzył mi jegomość, którego można by nazwać „wypasiony byk”. Tak sobie pomyślałam, a on to chyba odczytał, bo miał taki odruch, jakby się rozmyślił. Ale nic, weszłam. Mieszkanie... Korytarz i pokój w głębi pomalowane były na czarno. Pierwszy raz w życiu nie mogłam odruchowo ogarnąć całości. Czułam się tak, jakby w mój mózg ktoś wbijał

igielki, a każde uknięcie wyzwalalo iskry jak przy spawaniu. Gość już otworzył łazienkę:

– Otóż concept mój jest taki: cała ściana ma być czarna, wanna i ubikacja też. Kapuje pani?

Przeleciałam w myślach wszystkie sklepy i hurtownie, które znam:

– Materiały trzeba sprowadzić z Berlina.

Był zachwycony – z Berlina!

– A na suficie namalujesz mi to, Złotym.

Powiedziałam, że takich rzeczy nie robię i wyszłam. A ten znak to chyba jakiś satanistyczny symbol. Byłam wściekła. Sama nie wiem, na kogo. Na przystanku zrobiło mi się słabo. Zaczęłam gorączkowo rozmyślać, co mogę zrobić. Muszę iść do lekarza. Nie mam ubezpieczenia. Przypomniało mi się, że żona Romana jest internistką. Zadzwoiłam do nich i jakoś doczłapałam się do Joanny. Przyszli obydwójce. Bez pytania mnie o zdanie, żona Romana wezwała pogotowie i zawiozła mnie osobiście do szpitala. Roman wziął moją nieaktualną książeczkę zdrowia i powiedział, że coś wymyśli.

Wszystko, co pamiętam z tego dnia to moment, kiedy obudziłam się po operacji. Leżałam na korytarzu. Byłam jednym wielkim bólem. Nade mną stali Roman i jego żona w białych kitlach. „Miałas szczęście, zdążyliśmy w ostatniej sekundzie.” To było ropne zapalenie wyrostka. Popatrzyłam na nich, chciałam coś powiedzieć, usnęłam.

29 listopada

Muszę tu tkwić, chociaż czuję się świetnie. Dostałam łóżko w sali. Obok mnie starsza kobieta odmawia różaniec. Leży i mamrocze. Najpierw mnie to denerwowało, teraz mam ochotę coś do niej powiedzieć.

- Za kogo się tak modlicie, babciu?  
- Za moją wnuczkę, zdaje egzamin.

To jest nawet wzruszające - mieć kogoś, kto zamiast biadolić - modli się za ciebie. Moja babcia też się pewnie za mnie modliła. Wiele jej zawdzięczam. Zainteresowanie sztuką mam przecież po niej. Zabierała mnie do Krakowa na wystawy. Pamiętam jak pierwszy raz zobaczyłam „Szał” Podkowińskiego w Sukienicach. Nie mogłam oderwać od niego oczu. Babcia bezskutecznie usiłowała zainteresować mnie „Holdem Pruskim”. Wraciałam do tej nagiej kobiety na koniu. Babcia powtarzała mi często, że ludzie od zarania wieków obcowali ze sztuką, bo to przywraca naturalną harmonię. Nie rozumiałam jej słów. Mówiła jeszcze, że człowiek gdyby nie sztuka byłby - cytowała Mickiewicza - jak płaz w skorupie, sam sobie, dla siebie, o sobie, aż do całkowitej śmierci za życia.

30 listopada

Nie mam nic do czytania, notatki robię na papierze z kiosku. Już tak przyzwyczałam

60

się do robienia notatek, że poprosiłam salową o przyniesienie mi tu zeszytu i długopisu.

Po południu weszła młodziutka, chuda jak szczypiorek, modnie ubrana dziewczyna. Pocałowała babcie, poprawiła jej kódrę. Tyle w niej było autentycznego ciepła. Powtarzała przy tym w kółko: „zdałam babciu, zdałam, zupełnie nie wiem, jakim cudem”. Babcia puściła do mnie oko.

Przyszł Roman. Ubezpieczył mnie w swojej firmie jako sprzątaczkę.

- Ile ci jestem winna?

- Daj spokój.

Powiedział też, że nie mogę wracać do tej zimnej nory, że szukają mieszkania. Poszedł, a mnie zrobiło się głupio. Przypomniały mi się wakacje za naszych studenckich czasów, wyprawy do lasu. Było mi dobrze z jego delikatnością, ale jakaś część mnie nie mogła tego znieść. Bałam się, co to będzie, gdy go przy mnie nie będzie. Tego feralnego dnia pokłóciliśmy się tuż przed obiadem. Miałam do niego pretensje, już nawet nie pamiętam o co. Wziął torbę i wyszedł. Mama wróciła z pracy.

- Gdzie Roman?

- Zabiłam go - powiedziałam, i zaczęłam się głupio śmiać.

Zabiłam też coś w sobie.

I oto los tak pokierował moimi sprawami, że on i jego żona mi pomagają. Wieczorem nagle się odezwałam:

61

– Babciu, pożycz mi ten różaniec.  
Odmówiłam modlitwę tak, jak mnie nauczyła kiedyś moja babcia. Za nich.

### 2 grudnia

Joanna przyniosła mi komórkę. Powiedziała mi, że prawdopodobnie będę miała swoje mieszkanie. Trochę było jej przykro. Okazało się, że Wiktor bardzo się niepokoił. Nie chciałam, żeby mnie oglądał w takim stanie – wyglądałam strasznie. Ale on się uparł. Na dodatek zatroszczył się o to, że nie mam nic do czytania. Joanna miała przy sobie puder, zostawiła mi go. Pytała, co jeszcze mi przynieść, a ja powiedziałam, że nic. Nie chcę w tym miejscu przedmiotów, które lubię.

Lekarz powiedział, że powinnam poczekać z urodzeniem dziecka, aż wszystko się dobrze zagoi. Tym słowem „dziecko”, w pierwszej chwili mnie zaskoczył. Ja? Dziecko? Zupełnie o tym nie myślę. Wręcz zabraniam sobie myśleć. Nie mogę uporządkować myśli na ten temat i narasta we mnie rozdrażnienie. Są takie miejsca, gdzie moje przeżywanie na własną rękę, pełne sensu życie nabiera zimnej, jednoznacznej dosłowności: jesteś po trzydziestce, nie masz dziecka, jesteś bez pracy i bez stałego zameldowania. Chcę jak najszybciej wypłatać się z tej szpitalnej, zimnej jednoznaczności i uciec.

### 3 grudnia

Moje nowe mieszkanie jest kapitalne! Mam szczęście! Małeńki pokoik z wnęką kuchenną i łazienką. Trochę zaniedbane, ale to nie problem. Czynnysz do wytrzymania. Jeszcze nie jestem sprawna. Wiktor przewiózł moje rzeczy, pomógł mi się rozpakować i nawet zaproponował, że będzie tu przychodził, żebym nie musiała nic dźwigać. Umówiliśmy się też, że jak będą jakieś zlecenia, załatwi mi studentów do pracy fizycznej. Wychodząc poklepał mnie do brotliwie po policzku. Zaproponował nawet, żebym zainstalowała się u niego na strychu, aż dojdę do siebie. Odmówiłam, ale było mi przyjemnie. Z Wiktora taki przyjaciel. Ta ruda chyba krótko go trzyma i wie, co robi.

W tym samym dniu

Zostałam sama. I nie sama. Jest mieszkanie. Jest garstka znajomych i przyjaciół. Jedno porządne zlecenie i wyjdę na prostą. Zadzwońmy do pani Marii. Jak usłyszała, że byłam w szpitalu,

powiedziała, że przywiezie mi rosół. Przyjechała i przywiozła mi jeszcze miękki koc. Kochana pani Maria.

### 6 grudnia

Zmarła żona ojca, miała raka. Co czuję? Naczerze? Nikt tego nie przeczyta. Dobrze jej tak. Ojciec płacze, wyrywa sobie włosy z głowy.

Mam ochotę zadzwonić i powiedzieć: „Cierpisz? Teraz może zrozumiesz cierpienie matki i moje”. Oczywiście nie powiem tego, bo mi go żal.

#### 11 grudnia

Niespodziewanie zadzwonił Robert G. Powiedział, że mnie poszukiwał, a teraz przypadkowo wpadł mu w ręce folder z moją fotografią. Aha, to ten, którego poznałam w BWA. Jakoś mi to wyleciało z głowy. Właśnie teraz chciałby, żebym pomogła mu urządzić dom. Zastrzegł od razu, że ten dom to jedynie segment w szeregowcu.

Jedynie segment w szeregowcu. Byłabym szczęśliwa mając kłitkę w bloku, taką jak ta.

#### 12 grudnia

Pojechałam do ojca. Długo nie otwierał. W końcu zaczęłam szarpać klamkę. Był pijany:

– Wiedziałem, że nie przyjedziesz nawet na pogrzeb, co ona ci zrobiła?

– Zabrała mi ojca, to przecież drobiazg.

Nie pytając go o zdanie wpakowałam jego rzeczy do pralki, pochowałam ubranie do szafy, jej ciuchy włożyłam do worka. Niech z tym zrobi, co zechce. A on przez cały czas jęczał: „Ja się zabiję, ja się zabiję. To wszystko przez two-

ją matkę, to ona mnie zniszczyła, to ona mnie nie szanowała, a na koniec wypędziła mnie z domu”.

Opuścił mnie mój olimpijski spokój, zaczęłam wrzeszczeć, żeby nigdy w mojej obecności nie mówił źle o matce. A on, że jestem taka sama jedza jak ona. Wrzeszczeliśmy obydwoje. W pewnym momencie myślałam nawet, że mnie uderzy. Tak byłam zdesperowana, że miałam zamiar mu oddać. Nagle... cisza. Cisza... Cisza... Szukałam słów. On zwiesił głowę i wyszeptał:

– Kocham cię...

– Tato...

Nie mogłam pohamować łez. Objęłam go nie bacząc na odór alkoholu. Dzieci kochają jak psy. Ale on długo nie wytrzymał:

– No idź już, idź. Masz swoje sprawy.

No to poszłam.

W pociągu telefon. Struna. Nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Rozłączyłam się. Dzwonił uporczywie. W końcu pomyślałam, że i tak mnie dopadnie. Pożegnałam się ze swoim życiem i odebrałam. Mówił, że był w Rosji, że miał kłopoty, że tęsknił. Ani słowa o trefnym mieszkaniu, ani słowa, że mam oddać klucze. Zapytał tylko – „Masz kogoś?”. Odpowiedziałam bez namysłu, że tak.

– No cóż. Ale pamiętaj, jak on cię skrzywdzi to mu łeb rozwałę!!!

Zdawałam sobie sprawę, że to nie jest chwyt literacki.

Powiedział jeszcze: „Jesteś wspaniałą kobietą, zawsze możesz na mnie liczyć”. Rozłączył się. Dziwny człowiek. Nawet mi przez głowę przeleciało, że Kazik powiedział o nim, że jest z mafii, bo jest zazdrosny. A broni w mieszkaniu „Tajemniczego” była z czasów okupacji...

Prosto z dworca poszłam do mieszkania „z bronią”, jakiś staruszek wychodził z pieskiem, wpuścił mnie uprzejmie do środka. Drzwi mieszkania wydawały się martwe. Jednak okrągłe kółeczko w górnym zamku było bardziej błyszczące od reszty. Ktoś tu jednak był, zamek jest z całą pewnością wymieniony. Nie miałam odwagi, żeby zadzwonić. Zresztą – po co? Zbiegłam szybko na dół, dopiero na ulicy poczułam strach, a na dodatek zadzwoniła komórka i nie mogłam jej wygrzebać z torebki.

*14 grudnia*

Jest piękne przedpołudnie. Niebo czystsiejsze niż kiedyś. W takie dni z okna mojego pokoiku widać Tatry. Wczoraj miałam spotkanie z moim nowym chlebodawcą – Robertem G. Jest mniej więcej w wieku mojego ojca, ale bardziej zadbany i wysportowany. Mój ojciec „dzia dzia!” przy tej swojej pięknej Klarze – jak ją uprzywilejowanie nazywała mama. Obejrzelśmy dom, w którym Robert G. miał zamieszkać z małżonką. Nieduży, sensownie zaprojektowany, z małym prostokątnym ogródkiem. Pojechalśmy od razu kupić

flizy. Pokazałam mu w sklepie, jak to moim zdaniem mogłoby wyglądać. Był zachwycony.

Wróciliśmy jeszcze raz do niego, obejrzałam dokładnie każdy zakamarek, a kątem oka obserwowałam właściciela. Czy mają z żoną podobny gust? Rzadko się zdarza, że para ma podobny, nawet nie jestem w stanie tego nazwać, „życiowy napęd”. Może tak być, że taki okazał się pan ma za żonę cichutką skurczoną kurę domową, która wszystko musi robić tak samo, jak jej mama. Umówiliśmy się, że po świętach przyniosę projekt i dopilnuję pracy w łazience. Odwioził mnie do domu i powiedział, że mężczyzna, którego darzę względami musi być z tego powodu bardzo szczęśliwy.

*22 grudnia*

Wiktor jest zadowolony, że mam robotę. Przypomniał, żebym niczego nie dźwigała, że załatwi studentów. Obiecałam.

Zabrał mnie samochodem do Sz. Jego rodzice mieszkają dość daleko, na przedmieściu. Mamy wiele wspólnych tematów: dorastaliśmy w tych samych dekoracjach. Możemy obgadywać miejscowych notabli i wiemy, o co chodzi. Lubię go coraz bardziej.



24 grudnia

Wigilia. Pachnie domem, kolację mama przygotowała sama, nie pozwoliła mi niczego tknąć. Dodatkowe nakrycie „dla wędrowca” miało dziś zostać użyte. Zadzwoił ojciec, ja odebrałam. Złożył nam życzenia i milczał. Pomyślałam, że dławi ły. Nie pytając mamy, powiedziałam, żeby przyszedł. Zjawił się prawie natychmiast. Elegancko ubrany, wyperfumowany i z prezentami dla nas.

Mama sztucznie się uśmiechała. Bałam się, że w najmniej spodziewanej chwili wybuchnie. Najgorszy był oplatek. Staliśmy jak słupy soli. Leżał ten oplatek, a żadne z nas nie miało ochoty być teraz akurat tu. Napięcie narastało. Ojciec wyciągnął swoją niezgrabną łapę, chwycił cały oplatek i przełamując go powiedział – „przepraszam”. Nic się potem nadzwyczajnego nie wydarzyło. Mama wzięła swoją część, nawet ucałowała go bez słowa w policzek. Ja zrobiłam to samo i usiedliśmy do kolacji. Ani przez minutę nie było ciszy. Nawet serdecznie nas coś rozśmieszyło. Z boku patrząc: szczęśliwa rodzinka.

W pewnym momencie, po deserze ojciec powiedział, że jest bardzo zmęczony i zapytał, czy mogłyby się położyć. Mama powiedziała, że oczywiście i zaraz dodała:

– Zamówię ci taksówkę.

– Nie, jestem samochodem.

Nie padło ani jedno słowo więcej niż te, które zapisałam. Siedzieliśmy przy zastawionym

stole, jakby to była dekoracja z tektury. W końcu zapytałam:

– Mamo, nie dokucza ci samotność?

– Mogę przecież wyjść za mąż, w każdej chwili.

– Nic mi nie mówiłaś.

– Ty też nic mi o sobie nie mówisz.

– Fakt.

...

W pierwszy dzień świąt zadzwonił Kazik, że to ważne, że czeka na mnie w Biedronce. Niechętnie wyszłam z ciepłego łóżka. Kazik powiedział, że w nocy zginął Struna. Tuż przed granicą zderzył się z ciężarówką. Kierowca zbiegł z miejsca wypadku.

– Skąd wiesz, że to on?

– Wiem.

– Myślisz, że to przypadek?

– Nie sądzę.

Nie mogliśmy się jakoś dogadać. Wyszłam z Biedronki i sama nie wiedziałam, co mam zrobić. Wróciłam do domu i cały dzień z tępa miną przesiadywałam przed telewizorem. To nawet nie było cierpienie. Akurat nasze drogi się skrzyżowały, akurat jego musiałam poznać. Po co mu to BMW? Po co mu były te jakieś odprężenia. Stało się coś, co muszę w sobie odławiać. Mama zawiątała w chustę, którą jej podarowałam, czytała. Nie pytała mnie na szczęście o nic.

Wieczorem postanowiłam zdobyć się na odwagę i porozmawiać z mamą o mieszkaniu. Była nieugięta. Nie sprzeda mojej części mieszkania, bo ja jeszcze tu wrócę. Kiedy słyszę słowo „wrócisz” zaczynam wrzeszczeć, krzyczę tak głośno, żebym sama mogła raz na zawsze usłyszeć, że dla mnie nie ma tu powrotu! Gdy ochłonełam, zaproponowałam żeby, może chociaż je wynająć.

– Wykluczone.

W końcu jej powiedziałam, że jest mi ciężko, że nie układa mi się wszystko tak, jakbym sobie tego życzyła. Że czuję się samotna, że bardzo potrzebuję oparcia i tego, żeby ktoś we mnie wierzył. Że się borykam, ale mam głębokie przekonanie, że to jest moja droga i że nie wiedzie ona przez nasze miasto i jej kanapę!

W tym miejscu, urażona tą jej kanapą zadawała mi cios ostateczny. Powiedziała, że nie rozumie mojego postępowania, że jej zdaniem, to ja po prostu powinnam wyjść za mąż i dać sobie spokój z eksperymentami. Jej zdaniem, miałam dobrą pracę, wszyscy mnie szanowali i nie lepszego mnie nigdzie nie spotka.

Nagle zadzwonił Wiktor z pretensjami, że się nie odzywam i spytał, gdzie spędzam Sylwestra.

– W Zakopanem.

– Dobrej zabawy, wobec tego.

To, że pracujemy razem i to, że mi pomaga, nie upoważnia go do wtrącania się w moje sprawy! Co go to obchodzi, gdzie ja spędzam Sylwe-

stra?! Dlaczego mam meldować mu o każdym moim wyjeździe? Dobrze, że nie spytał, z kim?! Musiałby się dowiedzieć, że spędzam go, jak zwykle, w swoim własnym towarzystwie.

*31 grudnia*

Przeklęty Sylwester. Noc zarezerwowana dokładnie dla tych, którzy są do pary. Ja nie jestem do pary i muszę cierpieć. Kolejny samotny Sylwester. Wróciłam do Krakowa, bo wiedziałam, że zjeżdżają się przyjaciółeczki mamusi i będą mi szczerze życzyć, żebym w tym nowym roku wyszła za mąż. Albo jeszcze gorzej – będą taktownie milczały na ten temat. Nie mam też ochoty na towarzystwo żadnej starej panny. Wyłączyłam komórkę i schowałam do szuflady. Nie chcę mieć nadziei, że jakiś Książę zadzwoni i wybawi mnie nagle z kłopotu Sylwestra. Rozpakowałam rzeczy. Mama dała mi całą torbę jedzenia. Postanowiłam nagle, że chociaż nie spotkam ani jednej żywej duszy, będę się świetnie bawiła. Zrobiłam dobrą kolację, ubrałam się ładnie, a potem rozebrałam. Nie będę się wygłupiać, bez przesady. Dostałam od mamy pod choinkę *Lapidaria* Kapuścińskiego. Zapaliłam lampkę, czytałam, aż mnie zmorzył zdrowy sen. Udało mi się i przeżyłam ten czas bez cierpienia, bez tysiąca niepotrzebnych myśli o tym, jak to inni się szczęśliwie bawia, gdy ja jestem sama.

*Nowy Rok*  
Obudziłam się późno, na luzie. Zrobiłam dobre śniadanie i wskoczyłam z powrotem do łóżka. Kończyłam czytać. Wzięłam komórkę, żeby zamówić pizzę. Dobijało się do mnie kilka osób, w tym rozpaczliwie Wiktor.

Zadzwoń! — Gdzie jesteś?  
— U siebie.  
— Ja w Zakopanem, myślałem, że cię zabiorę samochodem do domu.  
— Co tam robisz?  
— Porobiłem trochę zdjęć.  
Po południu zjawił się Wiktor, siedzieliśmy przy winie do wieczora, gadaliśmy o naszych sprawach. Było tak domowo. Szkoda, że jest ode mnie młodszy, no i ta ruda — widziałam, jak na mnie patrzyła. Zresztą, ja mu się nie podobam, nie mogę mu się podobać.

*9 stycznia*

Nigdzie nie planowałam dziś wychodzić. W dobrym nastroju wzięłam się do pracy. Szkicowałam, wymyślałam meble i dodatki do mieszkania Roberta G. Nagle zadzwonił Józik. Zimno mi się zrobiło na myśl o naszym ostatnim spotkaniu w hangarze na Bagrach. Zaczął od serdecznych życzeń i gorących prośb, solennie mnie zapewnił, że dzwoni w sprawach zawodowych i nie ponad to nie ma

na myśli. Zresztą, żeby mnie uspokoić powiedział, że spodziewa się dziecka. Jakoś mu uległam i umówiłam się w Noworolu. Ubrałam się niechętnie i pojechałam tramwajem. Józik czekał. Powiedział, że mu głupio, że nie wie, co go wtedy napadło, że w swojej naiwności wierzył, że taka kobieta jak ja z nim będzie. Zaczął się po swojemu jąkać. Chodziło o to, że bym zlikwidowała „to gówno”, jak się wyraził, z sufitu jego łazienki, bo on by chciał teraz coś całkiem innego. Zapewniając o tym, że dobrze zapłaci, otworzył teczkę i pokazał mi starą, chyba bułgarską ikonę. Zaczęłam się śmiać.

— Józik, coś ci doradzę: kup puszkę białej farby i zamaluj ściany. A to, po prostu powieś na gwoździu. Oszczędzisz sobie wydatków. Powiedziałam, że na mnie czas i odeszłam.

— Patrycja!!!  
Odwrociłam się. Oczy miał pełne łez. Przez moment zawahałam się, czy nie podejść, nie ukoić jego bólu — w końcu, coś między nami zaszło. Ale z jakiegoś powodu tego nie zrobiłam. Szybkim krokiem poszłam prosto do Weroniki. Nie wiem, czemu pomyślałam właśnie o niej. Usiadłyśmy w jej obszernej kuchni pełnej zapachów. Jej zdaniem, żadne spotkanie na tej Ziemi nie jest przypadkowe, nie zdarza się tak po prostu. Każda sytuacja może nas czegoś nauczyć.

Nie wpadłabym na taki trop rozumowania. Lubię Weronikę. W jej sposobie bycia, mówienia jest coś, co mnie hipnotyzuje, wręcz urze-

ka. Uważa, że świat jest dokładnie taki, jaki powinien być, że swoimi zbrodniami i całym tym bałaganem. Jeszcze nie spotkałam nikogo, kto tak myśli. Najważniejsze – jak mówi – to przyjąć cokolwiek życie niesie, wyciągnąć wnioski i iść dalej. Powiedziała, że trzeba płynąć ze strumieniem życia. Tylko, że ja mam czasami kłopoty z ustaleniem, gdzie jest ten żywy strumień, a gdzie woda stoi. Weronika śmiała się długo i serdecznie. I powiedziała:

– Za dużo kombinujesz. Twoje ciało zawsze to wie.

*22 stycznia*

Zmieniam się. Dawniej po powrocie z pracy zasiadałam na kanapie i potrafiłam tak przetrwać do wieczora. Wyraziłam się jednak nieprecyzyjnie. Chodzi o to, że dawniej twory mojej własnej wyobraźni potrafiły mnie obezwładnić do tego stopnia, że nie mogłam nic zrobić. Obiady miałam przygotowane przez mamę. Jadłam bez apetytu i myślałam tylko o tym, żeby zniknąć w mojej części mieszkania, popijać herbatę, zapalić papierosa, ciasteczka były mile widziane. Wiedziałam takie życie, urozmaicone kradzionymi spotkaniami z Jerzym. Mama nie lubiła go, przychodził tylko wtedy, kiedy jej nie było. Ja szczerze i autentycznie wierzyłam, że on jest ze swoją żoną nieszczęśliwy, że jej nawet nie dotyka i że lada dzień wprowadzi się tu do mnie.

Gdzie teraz jest ta miłość do niego? Gdzie odchodzi miłość?

Miłość do Jerzego zdławiłam w sobie w ułamku sekundy. Dwie godziny później całowałam się ze Struną, przy grillu, na oczach połowy miasteczka. Zdławiłam w sobie miłość zupełnie tak samo, jak miłość do mojego ojca! Byłam jego ukochaną córeczką, nie schodziłam mu z kolan. Rozpieszczał mnie i wszędzie ze sobą zabierał. Kiedy go nie było w domu, siedziałam z lalkami tuż przy drzwiach, żeby się z nim przywitać pierwsza, przed mamą. A potem wyjechał, nie było go długo, a w domu zrobiło się strasznie. Dopiero koleżanka w szkole powiedziała mi, że wie, gdzie mieszka mój ojciec. Uderzyłam ją w twarz. W domu urządziłam awanturę. Mama płakała, nie szczeniłam jej wyrzutów, że mnie odgrodziła od ojca, że nie pozwała mi się z nią spotykać. Zawiozła mnie do niego taksówką.

Ruda nawet się do mnie uśmiechnęła w drzwiach, tylko raz. Przy kolacji wpakowała się ojcowi na kolana, zupełnie jakby mnie nie było! A potem przyniosła dwa talerzyki z galaretką i powiedziała, że dla mnie nie starczyło. „No jedz Staszek, ona ma matkę, to niech jej gotuje.” Ojciec podsunął talerzyk w moją stronę. Nie tknęłam, ona z wściekłością zabrała talerzyk i wyniosła go do kuchni. A ojciec powiedział tylko, że jestem niedobra.

W tamtej właśnie chwili przestałam go kochać. Wstałam i zażądałam, żeby mnie odwiózł

do mojej mamy. Już naw et nie pamiętam, czy to zrobił wtedy wieczorem, czy nazajutrz.

*Już luty*

Wiktor wparował do mnie, powiedział, że ma ciekawą robotę. Wykręciłam się złym samopoczuciem. Miałam wrażenie, że mu się zrobiło przykro, nawet chciałam zmienić zdanie, ale już odjechał.

*8 lutego*

Wszystko mi się zawałilo. Grunt coraz bardziej miękki, coraz bardziej osuwa mi się spod nóg. Bankowy klient od wykończenia motelu odwołał zamówienie. Bankowy wyjazd z robotą do Szwecji – upadł. A żeby było piękniej, muszę opuścić mieszkanie. Gospodarz przeprasza, ale właśnie ma okazję je sprzedać.

*16 lutego*

Włóczyłam się po mieście i nic sensownego nie przychodziło mi do głowy. Spotkałam moją miłą sąsiadkę z pierwszego mieszkania, której malowałam słoneczniki. Jej syn się rozwodzi, wprowadził się do niej z dzieckiem. Mieszka ją teraz w jednym pokoju, a na dodatek syn

pije. Ona teraz jest na przepustce. Jest w Koberzynie, na psychiatrii – trudno się dziwić. Najchętniej już by tam została. Powiedziała, że ma tam grono serdecznych ludzi, którzy troszczą się o to, żeby wyszła z dołka. Powiedziała, że mnie wspomina, że się za mnie modli. Wsiadła do tramwaju. Drobna, wychudzona. Szara myszka z szarego bloku, chociaż poczęta w Monte Carlo podczas podróży poślubnej jej bogatej mamusi.

Pomachałam sąsiadce i poczułam nagle, że ja jestem wolna. Jestem silna, myślałam. Umiem pracować. Mam pomysły. Jestem w miarę atrakcyjna. Uświadomiłam sobie nagle z całą prostotą, że przecież jestem! Popatrzyłam wokół siebie na mury, niebo, miasto, które Kocham z tą jedną jedyną myślą: Jestem. Ja jestem. Dziwne i piękne uczucie.

*4 marca*

Zainstalowałam się w końcu u Weroniki, do czasu, kiedy znajdę coś sensownego do mieszkania. Styczeń to nie jest dobry czas na szukanie mieszkania. Moje miejsce jest teraz w pięknej dużej kuchni Weroniki, na rozkładanej kanapie.

7 marca

Odezwał się wreszcie Robert G. Już myślałam, że zrezygnował z mojej pracy i wynajął firmę. Przy pakowaniu wyrzuciłam szkiełko jego domku. Miał trochę kłopotów, ale łazienka gotowa, dokładnie według mojego projektu.

Cały wieczór szkicowałam z głowy. Szczegóły uleciały mi z pamięci: strony świata, widok z okien w górnych pokojach. Zupełnie nie wiem, gdzie są drzwi w jednym pokoju. Głupia sprawa. Może nie powinnam uważać się za perfekcjonistkę. Może powinnam spuścić z tonu i przyznać się, że czegoś nie wiem. Zadzwoeniłam do niego, że muszę jeszcze raz wszystko zobaczyć, bo nie jestem pewna. Nie miał nic przeciwko temu, chciał nawet podjechać po mnie natychmiast, ale powiedziałam, że potrzebne jest dzienne światło.

10 marca

Dzwoniła mama, że ojciec się ożenił. Moja nowa macocha jest ode mnie młodsza prawie 10 lat. Poznali się podobno przez Internet.

- A ty? Mówiłaś, że wyjdiesz za mąż.

- Jeszcze się zastanawię.

Weronika słyszała całą rozmowę:

- Moi rodzice też się rozwiedli. Ja też się rozszłam.

Przecież są na tej Ziemi ludzie, którzy poznają się, kochają i żyją razem, aż ich śmierć

rozłączy. Przypomniała mi się rodzina Majki: jej ojciec, gdy mama wracała z podróży, sypał płatki róż na podłogę w korytarzyku. Sama to widziałam. Często można go było spotkać w Rynku. Po wyjściu z zespołu adwokackiego pan mecenas kupował gazetę, siadał przy stoliku w Antycznej albo spacerował. Potem kupował ciastka w cukierni u Scherharda i wracał do domu nieopodal. Witał się z psem, podgrzewał obiad. My - wszystkie koleżanki Majki - mówiłyśmy na niego „tata”. Zabierał nas czasami do cerkwi, gdzie dyrygował chórem. A w niedzielę rano wyjmował z lodówki jedzenie, pakował w małe paczuszki i szedł do więzienia na Monte Lupach do swoich podopiecznych, których sprawy prowadził.

14 marca

Weronika jest jak z innego świata. Dużo czyta, medytuje, uprawia jogę. Zawsze przed zajęciami, które prowadzi dla kobiet, pości, wychodzi na długie samotne spacer. W Meksyku żyła wśród tamtejszych Indian. Bardzo ciekawie opowiada o ich wierzeniach i zwyczajach.

Weronika uważa, że powinnam skończyć jakieś kursy, że z moim talentem mogę wiele osiągnąć. Mówi, że wszelkie przeszkody są wewnątrz nas, a nie w świecie. Trudno to, co mowi ogarnąć, ale świetnie się z nią rozmawia.

Kiedyś nasza rozmowa zesłała na sprawy wiary. Oczywiście jestem za poszanowaniem tradycji, ale tak naprawdę wierzę w to, co widzę.

- A teraz, co widzisz?
- Ciebie... Kołyszące się gałęzie za oknami... Ścianę, filiżanki na stole.
- A co słyszysz?
- Muzykę z tamtego pokoju, odgłosy ulicy, tykanie zegara.
- A co czujesz?
- Chłód w nogach i w dłoniach. Krzesło pod sobą.
- A co wiesz?
- Że nie mam mieszkania. Że nie mam stałej pracy. Że nikt mnie nie kocha.
- A to, że kręcimy się razem z Ziemią?
- No... w sumie tak...
- A to, że może teraz siedzimy do góry nogami?
- W sumie... tak...
- A że ktoś teraz może o tobie myśli?
- W sumie...

No i takie sobie prowadzimy rozmowy. Wieczorami Weronika przychodzi i czyta mi coś na dobranoc. Kawałek Biblii albo fragmenty świeżo przełożonych przez nią baśni. Dobrze mi tu, na jej kanapie w kuchni.

22 marca

Wzięłam się ostro do pracy. Robert G. jest bardzo zaangażowany. Jeździ ze mną po sklepach i kupujemy razem meble. Kilka razy przy zakupach bezwiednie mnie objął. Nie powinien tego robić, ale robi. Pewnie ma taki odruch, a ja zastanawiam się, co mam powiedzieć i że może ja coś powinnam.

Wieczorem na ulicy wpadłam na Majkę. Wydała charakterystyczny okrzyk:

- Patrycj! - To ty?
- Niedawno opowiadałam o twoim tacie, jak sypał kwiatki w korytarzyku.
- To jeszcze nic, tata miał zwyczaj robić w niedzielę śniadanie i podawał mamie do łóżka. Niestety, już go nie ma.

Zaciągnęła mnie do siebie na górę. Stare kochane domostwo w niezmiennym stanie. Te same ciężkie meble, mnóstwo książek. Samowar, pianino. Wszystko tu jest na swoim miejscu. Jakby tych dziesięciu lat nie było. Mama posiwiała, ale jak zawsze ma sposób bycia wielkiej damy. Kiedyś była znaną solistką. Córka Majki chodzi już do szkoły. A mąż? Machnęła ręką. Witaj w klubie.

Śmiałyśmy się przy kolacji z byle czego. Jak za dawnych dobrych czasów. Wspominałyśmy nasze prywatne festiwale. Raz do roku, przez tydzień, codziennie chodziłyśmy do teatru. Lubiłam ten przyjemny stan zawieszenia, pomiędzy jawą a rzeczywistością zaraz po wyj-

ściu z teatru. W tym stanie najlepsze pomysły wpadały mi do głowy.

Na pożegnanie spytałam jeszcze, jak sobie radzi finansowo. Usłyszałam w odpowiedzi serdeczny śmiech i potem jakieś „mogło być gorzej”.

Zauważyłam, że ludzie, którym się teraz marnie powodzi, rozwijają swoisty system wierzeń. Wyraża się to w nadużywanym: „widocznie tak miało być”, czy właśnie „mogło być gorzej”. Wyjaśniła mi to Weronika siedząc na brzegu mojego łóżka. Mówiła, że brak specjalnych pieniędzy daje pewien komfort. Można żyć w swojej niszy wśród ludzi, którzy myślą podobnie, mieć swoje małe przyjemności, rozwijać się duchowo. Kiedy się gra o większe pieniądze, trzeba bezwzględnie sprawdzać swój kurs i robić akurat to, czego wymaga chwila, a niekoniecznie to, czego pragnie organizm czy dusza.

Czy ja chcę zagrać o większe pieniądze?

21 marca

Wieczór na kanapce. Weronika wyjechała za granicę, właściwie mogłabym się przenieść do jej pokoju. Ale jakoś tu czuję się zadomowiona. Zmęczenie daje mi w kość. Cały dzień ustawiałam meble. Studenci uwijali się jak w ukropie. Po południu usiedliśmy w świeżo umeblowanej kuchni i zrobiliśmy herbatę. Oni mają inną świadomość, niż my kończąc studia. Oni już

wiedzą, że nie czeka na nich żadna praca. Że muszą być dobrzy. Sami zarabiają na opłacenie studiów. Powiedzieli, że dobrze im się ze mną pracowało. Wzięli swoją część zarobku i poszli. Robert G. był zachwycony, że tak szybko się uwinęłam. Stwierdził, że na pewno jestem głodna i zabrał mnie na kolację.

Sam był głodny, to pewne. Potem zaczęło się to, czego bardzo nie lubię – delikatne wypytywanie mnie o moje sprawy. W takich chwilach nie wiem, co mam odpowiadać. Muszę sobie ułożyć jakąś wersję oficjalną, typu „mąż za granicą” i się jej trzymać. Spytał, czy jestem mężatką. Odpowiedziałam wymijająco, że mniej więcej.

Dociskał mnie namolnie, więc mu powiedziałam, że właśnie coś nie wyszło. Jadł dość łapczywie i monologował, że w dzisiejszym świecie trudno się utrzymać, że trzeba mieć jakieś oparcie, trzeba mieć mocne zaplecze. Kobieta taka jak ja musi mieć męskie ramię. Usiłowałam jakoś delikatnie skierować rozmowę na inne tory, ale bez skutku. Aż wreszcie stwierdził:

– Dziewczyno, ty jesteś za delikatna, ty po prostu nie dasz sobie rady!

Chciałam palnąć go w łeb patelnią, z której zajadał duszoną cielęcinę i wyjść. Ale skierowałam rozmowę na temat mieszkania, okien, dywanów, kap, ozdób na ścianach. Rozgadałam się, szkicowałam na serwetkach warianty rozwiązań. Na koniec powiedział: „dobra jesteś,



daleko zajdziesz w tym fachu. Kto by pomyślał – taka krucha kobietka”.

Wsiadając z samochodu zapytałam:  
– No to jak, szefie, dam sobie radę?

Uśmiechnął się szeroko, wyciągnął do góry kciuk. Tylko, że ja z tymi słowami, które z takim przekonaniem powiedział, zostaję, i w chwili słabości brzęczą mi w uszach, jak nagrane na taśmie i osłabiają jeszcze bardziej. Weronika by pewnie powiedziała, że to tylko słowa, że coś tam sobie myślał, wyobrażał i to, co powiedział bardziej koresponduje z jego własnymi sprawami, niż z moimi. Łatwo powiedzieć.

22 marca

Wariacki dzień. Zasnęłam. Śnił mi się Robert G. Szliśmy objęci brzegiem morza. Cudowny, kolorowy sen. Przebudzenie z tego snu było nieprzyjemne, chociaż za oknem słońce – po raz pierwszy od dawna – nie było zamglone.

Drzwi w szeregowcu Roberta G. zastałam otwarte. Pierwsza myśl: „włamanie”. Weszłam jednak do domu, chociaż rozważałam, czy nie poczekać przed domem i nie zawiadomić policji... Na piętrze nie było nikogo. Z balkonu zobaczyłam kogoś przy moich świeżo wkopanych krzewach. Chciałam uciec, ale mnie zobaczyła. To była ona. Pomachała do mnie. Miałam dokładnie tyle czasu, ile wynosi długość schodów,

żeby zdławić te wszystkie uśmiechy i niekontrolowane muśnięcia.

Podążyła mi brudną od ziemi dłoń. Przedstawiła się. Uśmiechnęła się przy tym jakos tak ujmująco i serdecznie. Wyraziła swoje zadowolenie, że tak cudownie udało mi się utrafić w jej gust. Mąż się uparł, że zrobi wszystko podczas jej pobytu w szpitalu, a ona bała się, że to będą wyrzucone pieniądze. Drobniotka, szczupła, musiała być kiedyś bardzo atrakcyjna. Przeszliśmy się razem po domu. Nie miała najdrobniejszych zastrzeżeń. Poprosiła tylko, żeby szafę w sypialni przesunąć na przeciwną ścianę, bo chce tu przywieźć sekretarzyk ze starego mieszkania.

Cały czas mówiła. W kuchni pochwaliła dosłownie wszystkie moje rozwiązania, nawet rolety, których w zasadzie nie lubiła. Wypiliśmy razem kawę. Poprosiła mnie, żeby nie mówić mężowi, że już widziała dom.

– Robertowi bardzo zależy na tym, żeby to była niespodzianka. Czterdziesta rocznica ślubu, sama pani rozumie.

Zgodziłam się.

– W takim razie – zaproponowałam – mnie tu nie było. Przyjdę jutro rano.

Powiedziała mi jeszcze na koniec, że nie wie, co zrobić z mieszkaniem, bo syn może wrócić z zagranicy, więc nie warto go sprzedawać, a wynajmować, nigdy nie wiadomo na kogo się trafi.

Wracalam do miasta piechota. Co ja wyprawiam?! Przeciez sie bronilam, przeciez nie chcialam. Przeciez to tylko kilka spojrzeń, kilka zatrzymanych dluzej uścisków dłoni. Oczywiście, jestem głupia i mam za swoje.

Zadzwoń Wiktor. Przyznałam mu się, że jakoś mi słabo.

– Gdzie jesteś?

– Nie wiem.

– Zapytaj kogoś

– Tu nikogo nie ma.

– Podejż do najbliższego przystanku i zobacz.

– Nie potrzeba.

– I tak przyjadę.

Zadzwońłam jeszcze raz z przystanku autobusowego. Przyjechał taksówką, ma zepsuty samochód. Wrzeszczał co chwilę na kierowcę, że jedzie nieostrożnie. „Nie widzi pan, że żona jest chora”. Zaprowadził mnie na górę. Zrobił herbatę i poił mnie łyżeczką. Kiedy się obudziłam, nie było nikogo. Tylko kartka: „Muszę jechać, uważaj na siebie”.

*25 marca*

Mam grype. Robert G. zadzwonił, że musimy się rozliczyć. Że wszyscy są bardzo zadowoleni. Wiktor przychodzi z zakupami. Kołuje mi się w głowie, nie mogę czytać ani pisać. Wiktor sprowadził Romana i jego żonę internistkę.

86

Roman wziął mnie za rękę jak małe dziecko i powiedział, że się o mnie martwi, że tak nie można żyć.

– Jak?! – najeżyłam się strasznie.

– Bez stabilizacji, bez rodziny.

Rodzina nie jest czymś, na co można zapracować albo wynająć w wypożyczalni. Na szczęście żadne z nas nie było w nastroju do kłótni.

*2 kwietnia*

Robię łaźienkę u bardzo ciekawej dziewczyny. Pracuje w Telewizji. Chce robić autorski program o polskich karierach. Weszłam do łaźienki. Jak już zobaczyłam, o co chodzi, usiadłam na wannie, ona na kiblu i przegadałyśmy trzy godziny. Poprosiła, żeby w łaźience namalować jej anioła, dużą rybę i stokrotkę. To takie jej symbole.

*Niedziela.*

Nie mogę sobie znaleźć miejsca. Pracować nie mam siły. Gdzie iść? Lubię spacerować po Krakowie, ale w zwykłe dni. W niedzielę mam nieprzyjemne wrażenie, że mnie w swoisty sposób widać. Widać, że jestem sama. Niedzielne spacerki zarezerwowane są dla par i dla rodzin.

Co innego w dużym sklepie – tam nikt na nikogo nie patrzy. Ludzie mijają się szlalomem

87

wózkami, przepraszają nie patrząc ci w twarz i tyle. Pojechałam do takiego właśnie sklepu. Ludzie całymi rodzinami, chodzą, a to coś zjedzą, a to kupią coś do domu i niedziela przeleci. Lepsze to niż siedzenie w domu i klótnie z błahych powodów. Nawet z sympatią popatrzyłam na te niedzielne sklepowe rytuały. Kupiłam czajnik do herbaty, mydło w płynie i wróciłam zmęczona do domu.

*7 kwietnia*

Zarobionych pieniędzy wystarczy mi na mieszkanie, jedzenie i na telefon. Często jeżdżę taksówkami. Wiktor nalega, żebym zrobiła prawo jazdy. Czasami kupuję jakiś modny ciuch i mam potem poczucie winy. Teraz u Weroniki płacimy wspólnie rachunki, no i czuję się zobowiązana do różnych rzeczy. Kilka razy w tygodniu jadę oglądać kolejne mieszkanie do wynajęcia. Bezskutecznie.

*8 kwietnia*

Kupiłam książkę o Aniołach. Przeczytałam tam, że Anioł to nie byt sam w sobie, Anioł to funkcja. Wiktor kilka razy wystąpił w funkcji Anioła, muszę mu to powiedzieć. Spacerując po mieście weszłam do zupełnie pustego kościoła Franciszkanów. Lubię tu czasami przy-

chodzić, pozierać rozbiegane myśli. Czuję się w tej przestrzeni bezpieczna. Mam wrażenie, że gdzieś w powietrzu unoszą się ludzkie modlitwy, wezwania, łzy. Zaraz potem coś mi strzeliło do głowy, weszłam do kawiarni, naskicowałam jak w gorące szereg warianłów z Aniołem w tle. I wyszedł mi na końcu taki obraz: but uniesiony do góry, tuż obok stótkotka; woda, duża ryba, haczyk z robakiem. W tle Anioł. Komu pomiesza szyki? Właścicielowi buta? Właścicielowi wędki? Czy rybce? Kto go tu przywołał?

Grażynie się bardzo ten szkic spodobał. Grunt mam przygotowany. Do kucia poprosiłam jednego ze studentów. Jeszcze nie mogę wynosić wiader z gruzem ani kłęczęć i tłuc w ścianę. W trakcie malowania Grażyna przyjechała z kamerą. Zrobiła ze mną wywiad. Gdyby mnie uprzedziła, mogłabym się seksownej ubrać, ale Grażyna mówi, że byłoby to nienaturalne.

*11 kwietnia*

Po programie w TV były telefony. Grażyna się bardzo zaangażowała, rozdaje moje foldery. Reklamuje mnie. Wiktor bardzo się cieszy. Zaprosił mnie wieczorem do pubu. Głupia sprawa, w ogóle nie słyszałam, co do mnie mówił, taki hałas i ciemno od dymu. Młodzieży to odpowiada. Spytał mnie, czy dobrze się czuję.

– Jak sobie uszy zatkam, to jest całkiem przyjemnie.

Powiedział, że jestem staroświecka i przemieśliśmy się gdzie indziej. Wiktor uważa, że powinnam wziąć kredyt i kupić mieszkanie. Taka perspektywa mnie przeraża. Tłumaczył, że wynajmowanie to są pieniądze wyrzucone w błoto. Ma rację. Nie nauczyłam się jeszcze obracać dużymi sumami. Wieczorem odwiózł mnie do Weroniki. Wysiedliśmy z samochodu, staliśmy przed bramą i nie mogliśmy nic powiedzieć.

– Cześć.

– Cześć.

Ledwie zamknęłam za sobą drzwi i zdjęłam buty, zadzwonił jakiś człowiek, powiedział, że widział mnie w telewizji i prosi o spotkanie. Właśnie odzyskał dworek. Za kilka dni wraca za granicę, chce natychmiast przystąpić do omówienia planu renowacji. Tak mu się śpieszyło, że chciał zaraz po mnie podjechać. Stało się jednak na tym, że ja dojadę do niego do hotelu. Pomyślałam od razu, że TV to potęga i zobaczyłam siebie w swoim własnym mieszkaniu. Zadzwoniłam do Wiktora, nie był tak entuzjastyczny jak ja, ale powiedział, że do nas dojedzie.

W hotelowym holu stał niewysoki, dosyć krępy jegomość. Zobaczył mnie i od razu rozłożył szeroko ramiona w powitalnym geście. Powiedział, że w rzeczywistości jestem ładniejsza. Niezły wstęp.

Usiedliśmy w kawiarni. Rozmowa była rzeczowa. Mam rozejrzeć się po strychach, dawać ogłoszenia, pojeździć po kraju, kompletować stare meble i dodatki. Zaczęłam żałować, że wezwałam Wiktora. Dlaczego nie miałabym spędzić wieczoru z moim wielbicielem? Ale Wiktor wparował zdyszany i od progu, nie bacząc na intymną atmosferę wnętrza, krzyknął, że mu okulary zaparowały. Podeszłam do niego i przyprowadziłam do stolika. Powiedziałam, że to mój szef. Maurycy, bo tak się przedstawił, nie był zadowolony. Szybko jednak odzyskał formę, wyjaśnił w dwóch słowach, o czym rozmawialiśmy i ciągnął dalej. Wiktor słuchał uważnie, a potem powiedział, że ludzie już znają się na cenach, że to będzie kosztowne. Może raczej zrobić oryginalny współczesny projekt, a gdzieś tam wstawić stary kredens czy sofę.

Ale Maurycy był nieugięty. Doszliśmy wreszcie do kluczowego momentu, w którym Wiktor wypowiedział słowa umowa i zaliczka. Maurycy wyjaśnił, że teraz ma pieniądze zamrożone, żebyśmy mu sukcesywnie posyłałi rachunki, a on, przez swojego przedstawiciela, będzie nam gotówką za każdą rzecz płacił. A umowa? Słowo jest przeciw umową – dane słowo. Brzmiało to sensownie. Już chodziłam po pokojach w amfiladzie, zawieszając portiery. Wyłączyłam się na chwilę. Nagle patrzę, a Wiktor wstaje, żegna się lodowato i ciągnie mnie za sobą.

– Oszalaleś?!

Wiktor uważa, że to jakiś oszust. Może robi interesy na przemycie antyków. Spytałam, po czym to poznał?

– Nawet nie wspomniał, żebyśmy obejrżeli ten dworek.

– Może zapomniał?

– Patrycja, jeszcze ci mało afer? Umówmy się, że nie zarobisz tych pieniędzy, w każdym razie nie przez moją firmę.

*12 kwietnia*

Od rana chce mi się rzyć. Czuję się rozbita, pieniądze topnieją. Mam jeszcze trochę pracy u Grażyny, ile jej policzyć? Zaplamila żakiet sosem. Chciałam wyjąć deskę do prasowania – wyleciały mi rzeczy z szafy w korytarzu, Weronika pomyśli, że szperałam. Przypomniało mi to, jak bardzo lubiłam szperać w szafie, w mamy pokoju. To był wręcz nałóg, dawało mi to poczucie, że mama należy do mnie. Chciałam ją mieć na własność. Z zamyślenia o szafie mamy wyrwał mnie telefon, który zawsze, ale to zawsze mi ginie. To Jerzy. W jego głosie było tyle determinacji, że podałam mu adres. Ubrałam się szybko i byle jak. Niech sobie nie myśli.

Stał w drzwiach wypielęgowany, pachnący, ucałował mnie w policzek, różę wstałam od razu do wazonu, zrobiłam herbatę. Pił gorącą, małymi łykami. Pytał o pogodę

w Krakowie, czy nie przeszkadzają mi dzwony z kościoła naprzeciwko, a nagle:

– Patrycja, czy wyjdiesz za mnie?

Przez głowę przetoczyło mi się na raz tysiąc myśli i tyle samo obrazów, starych obrazów jak to będzie, kiedy będziemy już razem. Te obrazy tworzyłam siedząc na kanapie w Sz., czekając na jego telefon.

– Za późno.

Ja tych słów nie powiedziałam, one same się ze mnie wydobyły. Ja chciałam rzucić mu się na szyję. Jednak nie zrobiłam tego. To, co się potem wydarzyło, już chyba nie nadaje się do spokojnego opisanego. Nie pamiętam nawet, co było przed czym ani jakie padły słowa.

Jerzy zaczął po prostu płakać. Nie chce krzywdzić dziecka, nie chce krzywdzić swojej żony. Ale on już dłużej tego piekła nie wytrzyma. Jego życie po moim wyjeździe zmieniło się w koszmar. Nie może spać, nie może jeść. Wszystko przypomina mu mnie. Coś tam jeszcze mówił, a ja milczałam, milczałam, milczałam. Wreszcie wzięłam oddech, żeby coś powiedzieć, w mojej głowie był jakiś zarys, jakieś słowa miłości i ulgi. Opisuję tak, jak było: otworzyłam usta i sama usłyszałam głośne, za głośne, przeraźliwe wręcz: „WYNOŚ SIĘ!!!” I zaczęłam okładać go pięściami. On się skulił. Nawet powiedział „nie bij mnie”, cichutko. Włożył płaszcz – swój pachnący męski trenecz. A we mnie nie wiem co wstąpiło:

– Nie mam litości dla skurwysynów, którzy zostawiają swoje dzieci!

Teraz wiem, że to były słowa zaadresowane do mojego tatusia. Do tej czarnej dziury w sercu, której już nie w moim życiu nie wypełni. Schodził schodami, a ja nie mogąc pojąć, czemu patrzyłam za nim. Wiedział, że stoję. Odwrócił się i żeby mnie jeszcze dobić, powiedział wyraźnie i głośno:

– Kocham cię.

Kwiatów za nim nie wyrzuciłam. O nie. Nie jestem już taka głupia. Piękne róże. Dwadzieścia siedem. Tyle miałam lat, kiedy się poznaliśmy. Już był żonaty.

Zadzwoiłam do pani Marii. Powiedziała, że często o mnie myśli. Zaprosiła mnie na podwieczorek. Zabrałam te róże i poszłam. Ucieszyła się, wyjaśniłam, że się nie wykosztowałam i opowiedziałam jej historię z Jerzym. Ona jest zdania, że Jerzy nigdy nie uwolni się od tamtego związku, że postąpiłam słusznie. Powiedziała też, że współczuje tej małżonce, która przecież wszystkiego się domyśla, albo po prostu wie.

*15 kwietnia*

Mam wolny dzień. Zauważyłam, że kiedy dużo pracuję, nie myślę o pisaniu, niczego nie zapisuję. Robert G. bardzo dobrze mi zapłacił. Jest zadowolony, że żonie się podobało. Zapytał,

czy mógłby od czasu do czasu do mnie zadzwonić. Że to dla niego były piękne dni, że czuł się u mojego boku, w tych sklepach meblowych, jak nowożeniec. Było mi przyjemnie tego słuchać. Moje poczucie własnej wartości rosło, pęczniało, i pękło, kiedy sobie pomyślałam: mówi do mnie tak, jak do aktorki po wspólnie zagranych filmie: „dobrze nam poszło”. Ta myśl mnie jakoś ostudziła, przypomniałam sobie jeszcze miłą starszą panią, która teraz może trzyma w piekarniku spóźniony obiad. Zakończyłam spotkanie i – mam nadzieję – znajomość.

*16 kwietnia*

Uporczywie wracam myślami do spotkania z Jerzym. Sama siebie nie rozumiem. Nie chciałam przecież tego wszystkiego powiedzieć. Chciałam paść mu w ramiona, zamknąć oczy i porządnie się wyplakać. Chciałam przecież, żebyśmy nie rozstawali się już nigdy! Co mnie obchodzi jakież tam jego dziecko? Czy ja kogokolwiek obchodziłam? Takie po prostu jest życie.

*17 kwietnia*

Nosi mnie od rana. Nie mogę kończyć roboty, ściana jeszcze nie wyschła. Nowych zleceń nie ma. A na dodatek Wiktor zadzwonił, że chce ze

mną poważnie porozmawiać. Jest zadowolony z mojej roboty, zrobił folder, więc czego może dotyczyć rozmowa? Umylam wszystkie okna u Weroniki, odkurzyłam mieszkanie. Tylko po to, żeby zrobić cokolwiek. Żeby nie myśleć tych wszystkich strasznych myśli. Moje myśli mają swoją wagę, niektóre są jak cegły. I tylko takie dziś przychodzą mi do głowy. Wszystko mi się wymyka z rąk. Nie potrafię podjąć sensownej decyzji. Nie potrafię utrzymać związku, niczego nie potrafię. Można od samych myśli zwariować.

Wiktor czekał na mnie pod domem. To, co działo się później, wymagałoby szczegółowego opisu, gdyż tylko taki miałby znaczenie dla ewentualnej potomności. Piszę nie dbając o fakty, o szczegółiki, po prostu piszę. Robiąc ten wstęp, zbieram myśli, żeby jednak utrwalić to, co zaszło.

Wiktor mi się oświadczył! A ja nie powiedziałam nie.

Jestem głupia. Jestem pijana. Nie wiem, co mam robić. Nie wiem, co mówić, a na dodatek to jest zupełnie inaczej, niż można sobie to wyobrazić. Jakoś tak, nie znajduję innego słowa, konkretnie. Muszę sama sobie wyjaśnić, co to znaczy. To znaczy, że kiedyś z Jerzym było tak, że „to” zaczynało się jak gdyby na granicy snu, „to” było jak gdyby przedłużeniem snu. Trochę dobrego alkoholu, trochę muzyki, trochę miłych słów.

A teraz nie. Nic z tych rzeczy. Prawie buchalteryjna kalkulacja: podobasz mi się, ko-

cham cię, jesteś dobrym człowiekiem, będziemy mieli troje dzieci. Zamieszkamy u mnie na strychu.

Wystrzelał mi to wszystko jak z karabinu w samochodzie, patrząc w kierownicę. Nie było żadnej knajpki z dobrym winem i nastrojowej muzyki.

Zawiózł mnie na ten swój strych, który prawie w całości jest pracownią. Niemal od progu powalił mnie na swoją osiemdziesięcycentymetrową koślawą kanapkę. A ja nie powiedziałam nie.

A potem zaprojektował modernizację strychu i wcisnął mi na palec sygnet. Wsadziłam sygnet do torebki i wróciłam taksówką do Weroniki.

Czy ja naprawdę niczego się nie domyślałam? Przysięgam, nie. Jedno tylko pamiętam: spojrzenie tej rudej dziewczyny, kiedy Wiktor rozmawiał ze mną na wernisażu. No, może jeszcze coś. Nasze pierwsze spotkanie, a właściwie, pierwsze wejście. Wtedy, nie powiem, posypały się iskry. To było w szkole, na korytarzu. Ja byłam nową panią profesor, on maturystą. Ale wtedy pomyślałam, że to jeszcze dziecko, a zaraz potem, że mi się pewnie zdało, że to nie były żadne iskry, tylko moje przywidzenia. Widywałam go codziennie pod szkołą i tyle.

Coś mi przyszło do głowy. Zadzwoń mi do Wiktora. Jeszcze nie spał.

— Co robicie w Sylwestra w Zakopanem?

– Myślałem, że jakimś cudem cię spotkam. Miałem cię zabrać na Wiktorówki i ci to wszystko powiedzieć. Kocham cię.

– Kocham cię – mnie też się jakoś wyrwało.  
– Aha, i żadnych zleceń u podstarzałych grubasów. Od jutra będziesz pracowała dla pań o estetycznych aspiracjach. Jasne?

Skończyliśmy rozmowę. Jeszcze nie powiedziałam „tak”, a nie mam siły powiedzieć „nie”. Żeby tak ktoś za mnie zdecydował. Żeby tak mi kazał, siłą wpakował w sytuację, z której nie ma innego wyjścia.

W wyobraźni zobaczyłam nasz ślub: siedzą dwie rodziny, jak dwa wrogie sobie wojska, może nawet jakaś odmiana Grunwaldu. A wszystkich uparczywie prześladuje tylko jedna myśl: czy widać, że jestem od niego starsza. Ogarnęło mnie przerażenie.

Swoją drogą, niektóre konwencje mają długi żywot. Wiemy już na pewno, że organizm kobiety jest dziewięciokrotnie silniejszy, że kobiety żyją relatywnie dłużej, ale mężczyzna ma być wyższy i starszy.

*29 kwietnia*

Dawno nie zaglądałam do mojego notatnika. Wiktor zabrał mnie do Wiednia. Mieliśmy zatrzymać się u jego znajomej. Na słowo znajoma, skurczył mi się żołądek w jednej sekundzie. Wiktor nie chciał słuchać moich wynurzeń na

temat złego samopoczucia. Cały czas prześladowała mnie myśl o tej cudownej Eli, która jest bardzo atrakcyjna. Nie miałam odwagi zapytać, co go tak naprawdę łączyło z Elią.

Zawsze w praniu okazuje się, że jest trochę inaczej i nie tak źle. Ela – bardzo miła, inteligentna kobieta o zdecydowanym charakterze, samotna dziennikarka. W Polsce skończyła prawo, dziennikarstwo studiowała już w Wiedniu. Mieszka niedaleko centrum. Zainstalowała nas w salonie, na super niewygodnej wiedeńskiej sofie. W nocy przeniesiliśmy się na dywan. Zbyt byliśmy zmęczeni i zbyt podekscytowani całą sprawą, żeby tę pierwszą noc razem należycie wykorzystać.

Wiktor ma zrobić zdjęcia na zlecenie konsulatu w Krakowie. Łało, pogoda paskudna, ale pracował, a ja wyruszyłam na samotny spacer. W katedrze św. Stefana postanowiłam zapalić świeczkę w intencji pomyślności tego, co jest między nami. Nie miałam odwagi tak prosto z mostu sobie powiedzieć – w intencji szczęśliwego zamążpójścia.

Myślałam w pewnym momencie, że się prześłyszałam:

– Patrycja... To ty...?

Tu w Wiedniu, nikt mnie tu nie może znać. Ani drgnęłam. Dopiero przy wyjściu popatrzyłam na mężczyznę, który mi się wyraźnie przyglądał. Krzyknęłam za głośno, jak na te dostojne mury!

– Karol!



– Patrycja!

Padliśmy sobie w objęcia. Nic się nie zmieniło między nami, tak nam się przynajmniej zdawało. Zaciągnął mnie do małej przytulnej kawiarenki i kazał sobie wszystko od A do Z opowiedzieć. O Wiktorze powiedział, że go zna, że to bardzo porządny człowiek. Jeśli Karol mówi o kimś, że go zna, zaczynam się niepokoić.

Zagadaliśmy się, a moja komórka nie chciała łączyć. Trochę to popsulo nastrój spotkania po latach. Takie spotkania, gdyby o nich napisać w książce, wydają się zupełnie nieprawdopodobne. Jedziesz za granicę i nagle spotykasz kolegę z klasy. Już miałam się pożegnać, kiedy przed naszym stolikiem zatrzymał się chudy jak patyk mężczyzna, właściwie chłopak. Karol wstał, przedstawił mnie jako koleżankę z klasy. Młodzieniec z nieufnym uśmiechem podał mi mięką jak pończocha dłoń i coś bąknął. Nie rozumiałam, o czym rozmawiali z Karolem, ale w pewnym momencie młodzian uśmiechnął się. Odprawiali mnie razem aż pod dom. Karol kazał pozdrawić Wiktora i dał swój numer telefonu.

Solidnie spóźniona weszłam na górę. Obydwoje siedzieli przy winie. Wiktor był na mnie wściekły. Właśnie błysnęło słońce, chciał żebyśmy pozowała do zdjęć. Płatałam się w przeprosinach, a jednocześnie miałam poczucie, że w powietrzu coś wisi. Ela zaróżowiona z głupim uśmiechem. Zachowałam się jak idiotka, ale trudno. Stało się. Przeprosiłam za to,

że się narzucam, że psuję atmosferę wieczoru. Poszłam do naszego pokoju, usłyszałam jeszcze śmiech Eli. Sprawdziłam, czy mam paszport i ruszyłam do wyjścia.

Liczyłam, że Wiktor za mną wybiegnie, że to się jakoś wyjaśni. Nie wiem, na co liczyłam, zachowałam się jak idiotka. Oni może nie słyszeli trzaśnięcia drzwiami, z kuchni nie było widać, co robię w salonie.

No i cześć, wyładowałam sama, w Wiedniu, na ulicy. Telefon Karola milczał.

Nawet mi do głowy nie przyszło, żeby wracać. Niech sobie siedzą! Nigdy bym nie przepuszczała, że jestem aż tak zazdrosna.

Nogi niosły mnie same nie wiadomo gdzie. Zmarzłam, ale nie umiałam sobie wyobrazić, że po prostu wracam. Jednak wróciłam. Nie wiem, czy dobrze policzyłam okna, ale wydawało mi się, że jest ciemno. Było dla mnie jasne, że sobie poradziłam. Powlokłam się z powrotem w kierunku katedry. Zadzwoeniłam do Karola, powiedziałam, że pokłóciłam się z Wiktorem.

– Pogodzicie się, a ja się cieszę, że do mnie przyjdziecie.

Przyjechał po mnie samochodem. Mieszka w bloku, zupełnie jak w Polsce. Tyle, że klatka schodowa schludna, w windzie nie brakuje żarówki, wiszą sztuczne rośliny. Karol wpakował mnie od razu do wanny. A sam błyskawicznie zrobił gorące danie z warzyw i makaronu. Przegadaliśmy prawie do rana. Potem chciałam usnąć, ale jakoś ogarnął mnie niepokój.

Karol śpi. Piszę. Rozważam, co mam robić. Czy naprawdę mam zostać i popracować tu? Czy wracać – do czego? Czy „to” z Wiktorem naprawdę ma sens...? Czy jeszcze kiedykolwiek będziemy rozmawiać?

*7 maja*

Siedzę u Weroniki. Ona już wróciła. W Wiedniu zostałam jeszcze ponad tydzień. Zrobiłam Karolowi łazienkę. Chciał mi nawet dobrze zapłacić, ale ustaliliśmy, że to w celach reklamowych. Mimo to wcisnął mi tysiąc i odprowadził do autobusu. Farby i cały sprzęt zostawiłam u niego.

Co ja narobiłam? Czemu taka gwałtowna reakcja? To zrozumiałe, że Wiktor był wściekły, bo się spóźniłam. Pili wino, to mieli czerwone twarze. Sama siebie nie rozumiem. W autobusie myślałam też, że dobrze jest mieć to coś, do czego się wraca. Dobrze jest wejść do swojego mieszkania i do swojego łóżka. A pięknie jest, kiedy ktoś czeka... Moje odkrywcze myśli popsuły mi nastrój do reszty. Zawsze ta sama sytuacja: jakieś twory wyobraźni, jakieś myśli.

102

*8 maja*

Założyłam sobie pocztę internetową. Coś mnie podkusiło, wyciągnęłam wizytówkę Eli i napisałam do niej:

„Przepraszam, że się wyniosłam bez pożegnania. Nie zdawałam sobie sprawy, że jestem aż taka głupia.”

Pewnie mi nie odpisze.

*10 maja*

Poznałam dziwnych ludzi. Przyjechali z Wrocławia, chcą tu pracować. Grają razem dwuosobowe sztuki, jeżdżą z nimi gdzie się da. Chcą się dostać na studia aktorskie. Zapropionowali, żebyśmy razem wynajęli większe mieszkanie, będzie taniej. A na dodatek mają takie mieszkanie na oku. Pojechaliliśmy tam razem. Udało się! Już jestem po przeprowadzce. Na kanapce u Weroniki było przytulnie, ale nie mogę w nieskończoność tam mieszkać.

*14 maja*

Jestem kompletnie bez pieniędzy. Moje kontakty – przez to, że nie pracuję u Wiktora – się wykruszyły. Wróciłabym do zmywania okien, ale oddałam już Młodym moje adresy. Nie wiem, co robić i nie mam pomysłu od czego zacząć. Bardzo boję się u siebie takiego

103

nastroju, bo zaczynam wałkować wszystko od początku i na dodatek chcę już i natychmiast wszystko zmienić. Poszłam do Majki i dobrze zrobiłam. Ona na mnie trochę nakrzyżowała, że jestem dla siebie zbyt surowa, że ludzie, którzy do czegoś doszli mieli czasami więcej upadków niż wzlotów. A przede wszystkim kochali to, co robili. Jej mama poczęstowała mnie knedlami i to poprawiło mój nastrój. Przy jedzeniu wspominaliśmy Mecenasa, na którego mówiło się po prostu tata. Zona tak mówiła, córka tak mówiła i koleżanki córki – ja też tak mówiłam. W pewnym momencie mama Majki zapytała, gdzie teraz pracuję. Jak usłyszała, że nie mam pracy, powiedziała stanowczo:

– To znaczy, że twoją pracą jest szukanie pracy. Około ośmiu godzin dziennie. Domyślam się, że tak robisz?

Ze wstydem wyznałam, że moje szukanie pracy wygląda następująco: rozpuszczam wici – to pierwszy etap. Jeśli mi ktoś powie, że coś jest – umieram ze szczęścia. Już oczyma duszy widzę koniec wszystkich moich problemów i potem jak nic nie wychodzi, to popadam w taki dołek, że już nigdzie nie mogę iść.

– Błąd – powiedziała mama Majki. – Musisz się tym bawić. Założyć zeszytik: kontakty, adresy, telefony; sprawdzasz i stawiasz minus, pytajnik, minus. Tylko tyle. A każda rozmowa cię czegoś uczy.

Dała mi kolorowy zeszytik i powiedziała, że za tydzień mam się u niej stawić. Taka jest mama Majki. Pokrzepiona ruszyłam do działania.

#### 21 maja

Jest praca! Dekoracja niewielkiej kawiarenki. Klimat ma być trochę jak w starej szafie. To coś dla mnie. Szalałam tydzień. Nie policzę, ile odwiedziłam strychów, ile sklepów, ile targów, ile ogłoszeń – skupuję stare przedmioty. Wyszło kapitalnie. Każdy stolik z innej parafii. Stare żelazka z duszą, stare sztychy, stare jak świat ślubne fotografie. A na jednej ścianie dałam pod szkło koronkowy obrus. Bardzo to ociepliło całe wnętrze. Obrusy na stołach, każdy w innym kolorze. Udało się też kupić staroświecki kredens i stary patefon. Ile ludzi tego jeszcze mają. Muszę przyznać, że od debiutu w kawiarni Biedronka u Kazika bardzo się zmieniłam, jestem pewniejsza swoich pomysłów, już nie pytam w duchu, czy tak „się” to robi, po prostu robię, a ludziom się to podoba. Strychy i piwnice w Krakowie. Marzy mi się taka akcja, żeby to wszystko, co niepotrzebnie zawala jakieś niewyobrażalne arealy powierzchni powynosić, posortować, posprzedawać, poprzerabiać, albo spalić. A te piwnice wykorzystać na kluby, na galerie, czy chociażby na

hurtownie. Ludzie nie mają pieniędzy i biernie na coś czekają. Jak ja przed tygodniem.

Pracowałam jak w transie. Sama malowałam ściany, sufity, sama wierciłam dziury w ścianach. Nie umiem tego opisać, ale w tej pracy ogarnia mnie jakaś gorączka, cudowne podniecenie. Chcę jak najszybciej widzieć to, co sobie wyobrażam.

22 maja

Poszłam do kawiarenki internetowej wysłać jak najszybciej maila do Karola. Chciałabym, żeby przyjechał na otwarcie. Będzie trochę znajomych.

Poczta do mnie:

„Martwiliśmy się o Ciebie i tyle.

Ela

P.S. Gdybyś wiedziała, jaka ja potrafię być głupia, byłoby Ci lżej.”

Nie wiem dlaczego, ale ta notateczka ucieszyła mnie. Wręcz postawiła na nogi. W rezultacie zamiast Karola, zaprosiłam Elę, a ona powiedziała, że z radością przyjedzie, bo ma do załatwienia sprawę w Krakowie.

Piknęło mi w sercu. Czyżby oni byli teraz razem? I ja im to umożliwiłam? Nie, chyba nie. Chyba on ma kogoś innego. Może wrócił do tej rudej? Jakiś jej wyjątkowo nie lubię, za to spojrzenie, którym mnie wtedy w BWA obrzuciła.

27 maja

Ani słowa nie napisałam o Krzysztofie. Dlaczego? Czy ta delikatna niteczka nie zasługuje na to, żeby to jakoś ująć? Krzysztof jest malarzem, poznałam go przez moich Młodych, przychodził do nich codziennie. Zasiadał w kuchni, mało się odzywał, a potem wychodził, wszyscy się do tego przyzwyczaili.

Pewnego dnia, kiedy przyszedł, siedziałam sama przy dużym stole w kuchni i robiłam projekty. Spytał, czy zrobię mu herbatę. Zrobiłam. Trochę mi to przeszkadza, że życie tu toczy się jak w komunie – ktoś może przyjść nie będąc specjalnie zaproszonym. Siedział, a ja usiłowałam udawać, że pracuję. Od czasu do czasu burknęłam jakieś słowo. W pewnym momencie poczułam, że atmosfera narasta. Nie było to przykre, ale też nie było jakoś zachwycająco przyjemne. Położył mi dłoń na plecach tak po prostu, bez jednego słowa wyjaśnienia czy wstępu. A potem wstał i wyszedł. W życiu jeszcze czegoś takiego nie przeżyłam. Ręce mi się trzęsą jak o tym piszę.

A na dodatek, na drugi dzień powtórzyło się wszystko według tego samego scenariusza. Wszedł, poprosił o herbatę. Usiadł, nie już chyba nie mówił. Siedział dosyć długo, a ja nawet chciałam się odezwać, tylko już pomyślałam, że nie będę łamać konwencji. No i pac, położył łapę.

Trzeciego dnia, o tej samej porze uprzedziłam wypadki. Wjechałam windą wyżej i pa-

trzymałam przez okno. Wysiadł z samochodu. Zniknął w bramie. Nie trwało to długo – wrócił, pojechał.

Więcej się nie pojawił.

#### 1 czerwca

Byłam tak zmęczona, że najchętniej nie wzięłabym udziału w otwarciu kawiarni, której robocza nazwa Stara Szafa utrzymała się. Wymalowałam szyld i to im się spodobało. Właściciele to kapitalni ludzie, są małżeństwem dwadzieścia lat z okładem. Podoba mi się sposób, w jaki się do siebie odnoszą. Obydwoje kiedyś robili kariery naukowe, a teraz zajmują się interesami. Namawiali mnie tak serdecznie, że zgodziłam się przyjąć i obiecałam, że się nie wykręcę.

Przypomniało mi się, że mam zaległe masaże u Kory. Zadzwońmy, bardzo się ucieszyła i akurat miała czas.

#### 2 czerwca

Rano Kora zrobiła mi masaż. Doradziła mi też, żeby zaprosić swoich gości. Powiedziała, że nie trzeba przepuszczać żadnej okazji spotkania życzliwych ludzi, którzy mogą się cieszyć, że się coś udało. Ona mówi, że taki fakt wnosi w nasze życie coś istotnego. Dla mnie takie

spotkania były zawsze przykrą koniecznością, nie mogłam pokonać skrępowania. Obiecała, że zjawią się w komplecie. Potem poszłam jeszcze do solarium, do fryzjera. Ubrałam się ładnie. Dopiero w drodze pomyślałam, że mogłam zaprosić mamę, ucieszyłaby się widząc, że jakoś prosperuję. Ostatnio nie mamy dla siebie czasu. Ona zajęta, spotyka się ze swoim starym adoratorem ze studiów. Może coś z tego będzie. Życzę jej tego z całego serca.

#### 7 czerwca

Spałam długo i smacznie. Potem zrobiłam sobie kawy, kanapki i wróciłam z powrotem do łóżka. Jest deszczowy poranek. Nie ma Młodych. Cisza. Tak jak lubię. Wieczór był wyjątkowy. Stawili się moi krakowscy znajomi w komplecie. Kora miała rację – czułam płynące ciepło, mogliśmy celebrować bez pośpiechu każdą chwilę po kolei. Przyjechała Ela z Wiednia. Zachwyciła się moją pracą. Nie miałyśmy czasu porozmawiać na osobności. Co chwileczkę były toasty, co chwileczkę ktoś mi się przedstawiał, chwalił, pytał, co robię i dawał swoją wizytówkę. Miałam w torbeczce zrobione przez Wiktora foldery, które rozdawałam, rozdawałam, rozdawałam.

W końcu zmęczona, po północy zamówiłam taksówkę i przyjechałam do domu. Nie było Wiktora... Niby dlaczego miałby być? Byłam

sama i na dodatek nie zauważyłam, żeby ktokolwiek zainteresował się czymś więcej poza moją pracą. Dziewczyny były zachwyczone. Uważają, że powinnam pracować dla telewizji. Czemu nie?

Zadzwoń! Ela. Umówiliśmy się w Starej Szafie. Muszę wstać i jakoś doprowadzić się do ładu.

#### 9 czerwca, Wiedeń

Noc. Właściwie już prawie dzień. Nie śpię, nie mogę czytać. Nie mam z kim porozmawiać, więc piszę. Ela czekała na mnie w Starej Szafie. Gadałyśmy długo, opowiadała mi o sobie. Jej ojciec za komuny był milicjantem. Nie chciała wspominać, co przeżyła, jak była traktowana. Przy pierwszej okazji, jak tylko dostała paszport, wyrwała się za granicę. O Wiktorze nie mówiła ani słowa, domyślałam się, że nocuje u niego na strychu. Ona jednak w pewnym momencie powiedziała, że musi się szykować i czy nie odprowadziłabym jej do hotelu.

Przy pożegnaniu spytała, tak zupełnie po prostu, czy zrobię jej łazienkę. A ja tak zupełnie po prostu spytałam, czy ma jakiś motyw, który jej odpowiada.

– Chciałabym siedząc w wannie myśleć o tym, że jestem częścią natury. Przypomnieć sobie, że moje własne ciało też ma swoje potrzeby.

– Ambitne zamierzenie, też bym tak chciała. Jak mi przyjdzie coś do głowy, wyślę ci maila.

– Nie, pojedziemy razem.

Właściwie, czemu nie? Tutaj skończyłam. Zlecenia mi nie uciekną. W Starej Szafie przechowują kontakty. Na razie nie mam jeszcze specjalnej konkurencji. Zgodziłam się.

Ela spakowała się błyskawicznie. Podjechałyśmy po moje rzeczy. Wzięłam paszport. Zostawiłam Młodym kartkę i pieniądze na czynsz. W drodze Ela rozgadała się. Powiedziała – wreszcie padło to imię – że wtedy, kiedy uciekłam w Wiedniu z jej mieszkania, Wiktor szalał. Oczywiście nie słyszeli, kiedy wyszłam, dość długo to trwało, on się krepował Eli. Wreszcie powiedział, że zobaczy, co ja robię. Wrzeszczał: „No nie...! no nie...! Ona zwaśniła!” Czekaliśmy, potem dopiero zobaczył, że nie ma torby i paszportu.

– Zapewniałam go, że Wiedeń jest bezpiecznym miastem, że nie złego ci się nie może stać. Pochodzisz po ulicach, przejdzie ci i wrócisz.

– Cały czas nie wiem, co was łączyło.

Ela zaczęła się śmiać.

– Chcesz wiedzieć, to ci powiem. Byłam kiedyś na wakacjach w Sz. – mówiąc to śmiała się cały czas. – Wtedy już chyba kończyłam prawo. Wynajmowałam pokoik na poddaszu. Wiktor miał wtedy, może siedemnaście, może trochę więcej lat. Już nie pamiętam tego pierwszego razu.

– A więc był jakiś raz?

– I to nie jeden. Procedura była taka: w nocy Wiktor po cichutku otwierał drzwi, wsuwał się prosto do łóżka, robiliśmy swoje i wychodził. W ciągu dnia zupełnie go nie widywałam, miałam swoje towarzystwo. W końcu chyba jego rodzice coś zmiarkowali, bo powiedzieli, że czekają na rodzinę z zagranicy i dłużej nie mogą mi wynajmować pokoju. Wiktora nawet nie widziałam. Wyjechałam jeszcze tego samego dnia.

– Jak się spotkaliście?

– Jak to w Krakowie, przypadkowo. Ja go, szczerze mówiąc, ledwie rozpoznałam. Szłam z moim byłym mężem i kłóciliśmy się. Wymieniliśmy tylko wizytówki i tyle. Dopiero jak już mieszkałam w Wiedniu, odnalazłam Wiktora – moja firma potrzebowała dobrego, taniego fotografa. Już nic „z tych rzeczy” nie było. Znamy się, jak widzisz, od dawna i od podszewki.

– Widziałas go teraz?

– Nie. Nie ma go w Krakowie.

– Nie nie wiesz?

– Znajdzie się, jak będzie potrzebny. Wspominał, że może wyjedzie w Bieszczady naładować akumulatory.

Więcej o Wiktorze nie rozmawialiśmy.

*11 czerwca*

Włóżę się po ulicach Starego Miasta. Jeździłam tramwajem do Ringu. W Muzeum Hi-

storycznym pytanie: dlaczego dzieła barokowych mistrzów są rozpoznawalne na pierwszy rzut oka? Odpowiedź: bo taki był rynek, to szło. Takie i podobne myśli przychodziły mi do głowy w obcowaniu z pięknem. Przypomniała mi się moja babcia, gdy razem chodziliśmy po muzeach i galeriach, jak „zamawialiśmy” sobie obrazy, które chcielibyśmy powiesić sobie nad łóżkiem.

Karol zabrał mnie „gdzieś, gdzie będzie ci jak w niebie”. Nie pomylił się. Kunst Haus Wien to w całości dzieło Hundertwäsera. Przestrzeń, kolory, rozmieszczenie światła i na dodatek żywe kwiaty w kawiarni na całej ścianie. Tak zorganizowana przestrzeń może otworzyć serce, rozwibrować uczucia. Oto moje najskrytsze i najśmielsze marzenia ucieleśnione. To wszystko jest możliwe! Pobiegłam do ubikacji zobaczyć, jak poradził sobie z połączeniem fliz i malarstwa: doskonale i z humorem, prosto. W takim wnętrzu taka osoba jak ja, mocno czuje fakt, że istnieje. Szliśmy potem wzdłuż ulicy, gdzie Hundertwäser pozamieniał szare bloki w istne cudenka pełne barwy, zieleni drzewek i światła. Chciałabym tu mieszkać. Codziennie przechodzić tą ulicą i znikać w klatce schodowej takiego domu.

*12 czerwca*

Nie spałam w nocy. Nie mogłam zacząć pracy bez pomysłu. Ścian nie musiałam specjalnie odkuwać, Ela by nawet nie pozwoliła. Tłukły mi się po głowie różne obrazy, aż wszystko stało się jasne. Będzie tak: wyrosną polne zioła i polne kwiaty, delikatne motyle i ptaki. Lustra tak podwiesimy i tak podświetlimy, żeby ta przestrzeń nie miała praktycznie ram. Ela pomysł zaakceptowała, na wszelki wypadek rozrysowałam go jej na kartonach i razem pojechaliśmy wybrać lustra i dobrać odpowiednie oświetlenie.

*13 czerwca*

Jak szalona zabrałam się do pracy. Myślałam tylko o jednym – żeby to, co będzie, niosło wyraźny spokój.

Ela z konieczności musiała zaglądać, ale jej wrażenie i radość jak już wszystko było gotowe, przeszła moje oczekiwania. Uwinęłam się w cztery dni. Pracowałam też nocami.

Jutro jedziemy do Baden.

*14 czerwca*

Piękne popołudnie. Karol pojechał z nami. Rozgadali się o tym, jak bardzo Wiedeńczycy nie lubią cudzoziemców. Obydwoje przeszli

swoje przykrości. Snuliśmy się po Baden, po starym parku, po ciepłych uliczkach, patrzyliśmy na kolorowe domeczki. Piliśmy wino w kasynie gry, które funkcjonuje również jako luksusowy dom kultury. W pewnym momencie powiedziałam:

– Tęsknię za Wiktorem.

Ela uśmiechnęła się dość tajemniczo:

– Wiktor... też za tobą bardzo tęskni.

– Mam cię ucałować?

– Jego.

– Kiedy?

– Wieczorem.

– Nie wierzę, jak to zrobiłaś?!

– To nie ja. Wiktor zadzwonił do mnie. Powiedziałam o łaźni. Powiedział, że wpadnie zrobić dokumentację.

– Jest w Wiedniu?

– Jedzie.

W pierwszej chwili z radości o mało nie rzuciłam się na kelnera. Ale zaraz potem przypomniały mi się te moje wygłupy i cierpienie i epizod z Krzysztofem.

– Posmutniałaś – powiedział Karol.

– Trochę.

Jechaliśmy wąską asfaltową drogą pomiędzy winnicami. Karol i Ela rozdyktowali się o muzyce i teatrze. Okazuje się, że drepczą po Wiedniu tymi samymi ścieżkami. Im bliżej miasta, tym bardziej miałam ochotę zapaść się w jakiś sen, przejść już do następnych rzeczy. Nie spotykać się z Wiktorem akurat tu,



w Wiedniu. Zaproponowałam, że przenocuję u Karola, a Wiktor może do mnie zadzwonić. Ela zgodziła się, wzięłam rzeczy i pojechaliśmy.

Teraz jest noc, Karol śleczy przy komputerze, ja piszę. W jednej sekundzie chciałam wyjść i jechać taksówką do Eli i „nakryć ich”. Czekalam na telefon, że zadzwonią, że tu przyjadą i tak w kółko. Jeszcze była w mojej głowie opcja nie do odparcia, że Wiktor przyjechał z tą rudą.

Spróbuję zasnąć. Zwykle na myśl, że miałabym wziąć tabletkę nasenną, czuję mdłości. Dziś jestem w tak podłym nastroju, że lepiej byłoby wziąć tabletkę i nie być. Ale nie zrobię tego. Lubię niektóre swoje zasady.

*18 czerwca*

Oczywiście wszystko potoczyło się zupełnie inaczej. Wiktor nie przyjechał. A ja nie wróciłam do Krakowa tak, jak to zaplanowałam. Chociaż teraz, kiedy to piszę, siedzę w Starej Szafie przy zwisającej lampie, popijam herbatę owocową i nie mam gdzie mieszkać. Młodzi nie mogli zapłacić, musieli się wyprowadzić, moje rzeczy przynieśli tu. Spałam na materacyku w kantorku.

Ale po kolei, bo mi umknie. Więc, kiedy już postanowiłam, udęczone własnymi myślami, zasnąć – zadzwoniła Ela.

116

– I tak wiem, że nie śpisz. Masz robotę! W prawdziwym austriackim domu, za prawdziwe pieniądze.

Okazało się, że był u niej na kolacji jej terapeuta. Wszystko w jednej sekundzie stało się dla mnie jasne: pogoda ducha Eli, pomimo braku stałego partnera, wyważone reakcje. To za sprawą tego życiowego korepetytora. Zazdrość jej. Ciekawe, ile to kosztuje. No i powiedział, że Peter zachwyił się łazienką. Kazał sobie napaść wody do wanny, wziął kieliszek wina i prawie godzinę go nie było. Wyszedł zachwycony i powiedział, że też chce mieć u siebie w łazience własne niebo.

Całe przedpołudnie spędziłam w sklepach. Kupiłam trochę nowych ciuchów, żeby się elegancko zaprezentować. Byłam zachwycona, prawdziwa kobieta interesu. Eli nie było w domu. Przymierzyłam wszystko przed lustrem. Nowy ciuch jednak ktoś musi zatwierdzić, inaczej czuje się niepewnie. Skończyłam się na tym, że włożyłam tylko nowe pantofle. Karol zaofiarował się jako tłumacz.

Otworzył nam rosty niedźwiedziowaty ktoś. Uśmiechnął się od ucha do ucha i przekroczyłam próg prawdziwego wiedeńskiego mieszkania. Ciekawe, czy je odziedziczył po przodkach, czy kupił. Pokoi chyba z siedem. Wszystkie w amfiladzie, ułożone w kwadrat. Z każdego pokoju można wejść do następnego i do holu. Żadnej intymności, żadnej możliwości zaszycia się, czułam się jak na patelni, jak w jednej du-

117

żej izbie. Łazienka ogromna, zimna, dwa wejścia. Ciemna. W pierwszej chwili miałam wrażenie, że nie zrobię tu nic, że tym razem mi się nie uda. Bałam się wrócić do salonu. Wyratował mnie Karol. Stał za mną i powiedział:

– Patrycja, ty jesteś tu najważniejsza. Nie te glazury.

Peter wydawał się nie zwracać na mnie uwagi, prowadził z Karolem ożywioną rozmowę przerywaną wybuchami śmiechu. Karol nie chciał tłumaczyć, a ja, krótko mówiąc, czułam się głupio.

Weszłam jeszcze raz do łazienki. Tym razem zmierzyłam ściany na oko i wstępnie rozrysowałam w swoim notatniku. Ciągłe jeszcze coś było nie tak, nie mogłam uchwycić swojego ulubionego stanu ducha, w jakim pomysły same przychodzą mi do głowy. Byłam zamiast tego coraz mniejsza, coraz bardziej przytłoczona. Jak już złapałam się na myśli – słysząc kolejny wybuch śmiechu – że to ze mnie, sama zaczęłam się śmiać. Co mnie tak strasznie onieśmieliło? Weszłam i rzeczowo zapytałam, czy można zmienić oświetlenie.

Peter powiedział, że można zmienić dosłownie wszystko, jeśli w projekcie będą zmiany glazury i położenia wanny – nie ma sprawy. Ma być jak u Elisabet, ma być jak w niebie i uśmiechnął się. Spytał, czy ma dać zaliczkę. Powiedziałam, że jak będzie projekt. Zgodził się.

Powiedziałam jeszcze, że pracuję szybko, ale dopiero od chwili, kiedy mam projekt. Czas wy-

legania się pomysłom, nigdy nie jest do przewidzenia.

– Widzę, że mogę panią przeszkolić. Są procedury, które można zastosować, nasz twórczy umysł może pracować na zawołanie.

Po wyjściu od Petera Karol wyraził zachwyt, że poznał tak kapitalnego człowieka. Jednocześnie przypomniał mi o profesjonalnym podejściu, rozliczeniu wszystkiego. Zaoferował się, że razem zrobimy kosztorys.

– Zarobisz furę pieniędzy.

Rachunki to Wiktor. Nie mam swojej firmy. Więc wróciłam do Krakowa.

*19 czerwca*

Zadzwoiłam do Wiktora. Był. Pozwolił przyjść. Przyszłam. Pokazał krzesło. Usiadłam. Spytał, czy chcę kawy. Poprosiłam. Spytałam, czy rozliczy moje zlecenie za granicą. Rozliczy. Wstałam. Wstał. Wyszedł. Zamknął drzwi.

Szłam po ulicy jak pijana. W takim stanie ducha wpada się pod samochody albo zderza się z rowerzystami. Mnie się przydarzyło to drugie. Upadłam. Przerażony młody człowiek zostawił rower, pomógł mi wstać, zaoferował się, że zawiezie mnie na pogotowie. Przyjął rower do słupa, wezwał taksówkę. Siedział potem ze mną w tłumie czekających pod gabinetem lekarza. Pomógł mi dokużytkać do roentgena.

Prawie nic nie mówił. Przez ból nogi przebiła się sympatia do tego młodzieńca. Okazało się, że nie muszę mieć gipsu, ale kilka dni leżenia z nogą podniesioną do góry jest obowiązkowe, bo będą komplikacje.

Marcin – tak miał na imię rowerzysta – koniecznie chciał mnie odwiedzić do domu. W tym sęk, że ja go chwilowo nie mam. Zaproponował, że mogę zatrzymać się u niego, że mieszka z kolegą na stacji, że będzie bardzo fajnie. Może bym się zgodziła, ale to „bardzo fajnie” zabrzmiało mi jakoś nie tak. Powiedziałam, że pojedę do mamy. Pożegnałam go, wymusił jeszcze mój numer telefonu i popędził sprawdzić, czy nie ukradli mu roweru.

A ja? Usiadłam na ławce i swoim zwyczajem zaczęłam płakać.

Teraz, kiedy to piszę, wydaje mi się oczywiste, że zawsze w takich trudniejszych sytuacjach działałam sensownie, więc po co tak strasznie przeżywałam?! Za rok już mnie nie a nie nie będzie obchodziło to, że miałam zwichniętą nogę i nie miałam gdzie iść. Zdecydowałam się na telefon do pani Marii. Komórka to jednak cudowny wynalazek.

– Pomoże mi pani?

– Przyjeżdżaj natychmiast.

Nawet nie zapytała, o co chodzi. Nie wiedziałam, czy mnie przenocuje. Zadzwoniłam po taksówkę, pojechałam do Starej Szafy po torbę. Taksówkarz zobaczył, że kuśtykam. Dźwigał torbę, wniósł mi ją potem na piętro.

Pani Maria popatrzyła na moją nogę, na torbę. Padłyśmy sobie w ramiona, rozplakałam się. Zaprowadziła mnie do małego pokoiku swojej córki. Rozłożyła pościel. Zrobiła nawet prowizoryczny wyciąg i pomogła mi się zainstalować. Wpakowała we mnie jakieś tabletki przeciwbólowe. Usnęłam prawie momentalnie.

#### 20 czerwca

Właśnie się przebudziłam i nie wiedziałam w pierwszej chwili, gdzie jestem. Zapaliłam światło i piszę. Pani Maria śpi. Przypomniało mi się jej powitanie, bez zbędnych słów i serce zalała mi wdzięczność. I nagle z mieszaniny powracającego bólu i ciepłych uczuć wyłoniło się słowo „czuwanie” i jednocześnie kolorowy obraz. Przerwałam pisanie i zaczęłam w pośpiechu szkicować na małych kartkach: motyle, łąka, woda i ryby, obłoki i Anioł. Już drugi raz przychodzi mi ten motyw do głowy. Szczegóły rodziły się same: trzciny, konik polny, nenufary. Przyszło mi do głowy, żeby zaproponować pani Marii ten motyw do jej łazienki. A potem go stosownie rozbuduję. Byłam tak podekscytowana, że wysłałam SMS do Wiktora: „Jesteś Aniołem”.

Wysłałam, a teraz żałuję. Mogłam sobie w zeszycie to napisać. Co on sobie pomyśli? Na dodatek noga zaczęła mnie boleć coraz bar-

dziej. Ten SMS zatruł mi całą radość. Pomyśli, że mu się narzucam. Po co ja to zrobiłam? On już pewnie kogoś ma.

#### 22 czerwca

Pani Maria opiekuje się mną jak prawdziwy Anioł. Nawet świeże kwiaty postawiła mi na stoliku. Podaje jedzenie na tacy, nie pozwala mi wstawać. Kiedy usiłuję wykrzesać z siebie jakieś słowa podziękowań, przyjmuje to wręcz opryskliwe. Uważa, że to naturalne, że ja w podobnej sytuacji nie postąpiłabym inaczej.

Poprosiłam panią Marię o większy blok rysunkowy. Poszła do sklepu, a ja ciągle kuśtykając zmierzałam jej łazienkę. Potem siedziała przy mnie, opowiadała o swoim pobycie w Stanach, a ja szkicowałam. Cztery ściany i sufit. Pokazałam jej. Patrzyła na szkice, a jej oczy rozjaśniły się jak dziecku.

– Namaluję pani to w łazience.  
– Och dziecko, to bardzo kosztowne.  
– Zrobię to z radością, w dowód wdzięczności.

– Ale ja...  
– Dobroć nie ma ceny.  
Zgodziła się, a ja byłam zadowolona, że ułożyłam sentencję: dobroć nie ma ceny.

#### 24 czerwca

Wczoraj rano zadzwonił rowerzysta Marcin. Poprosiłam go, żeby mi przywiózł ze Starej Szafy plecak z farbami. Pani Maria poczęstowała go kawą i bułeczkami. Przyniósł od sąsiadki drabinę, zaofiarował się, że będzie trzymał, żebym nie spadła. Drabina okazała się stabilna, więc zapytał, czy może przyjść na obławianie efektu.

Zabroniłam pani Marii podglądać w czasie pracy. Musiała korzystać z łazienki u sąsiadki. Pani Maria świetnie gotuje. Zwykle podczas pracy nie myślę o takich rzeczach jak jedzenie, ale nie śmiałam narzucić swojego stylu. Malowałam w małej łazience pani Marii i jednocześnie powiększałam w wyobraźni projekt tak, żeby pasował do ogromnej łazienki Petera.

#### Nad ranem

Skończyłam o czwartej. Popatrzyłam – rzecz siedzi, żyje. Musi podeschnąć, drobne korekty wykonam po kilku dniach.

U Petera dojdą jeszcze lustra i specjalne oświetlenie. Wykąpałam się i weszłam do łóżka. Dopiero wtedy odczułam, jak bardzo jestem zmęczona i że noga jeszcze nie jest zdrowa. Już miałam zapalić światło i pisać, kiedy usłyszałam cichutkie kroki pani Marii i okrzyk: „och!”.

Była autentycznie zadowolona. Zapaliłam światło i z rozwianym włosom wparowałam do łazienki. Pani Maria przyniosła koniaczek

i siedząc w łazience jak na budowie, raczyliśmy się zbyt obficie.

SMS od Wiktora: „Ty też”. Zapomniałam, co ja też. Przez te bóleści, łazienkę, zmęczenie, temat Wiktora wyleciał mi całkowicie z głowy. Więc mu napisałam: „Kocham cię”.

Napisałam, „kocham cię” i żałuję. Nie odpisał. Nie śpię. Piszę. Pani Maria pewnie już śpi.

W takich chwilach jak ta mam uczucie, że wszystko się wali, że jakaś straszliwa chmura wisi nad moją głową, że nigdy już się nie odbiję od dna i że zawsze będę krążyć wokół tych samych spraw, tych samych uczuć, a najgorszą myślą jest to, że miałabym wrócić do domu. A wszystko to spowodował brak odpowiedzi Wiktora. Nie ma znaczenia to, że udało mi się zrobić łazienkę, że udało mi się wymyślić projekt.

*25 czerwca*

Nie zauważyłam, że skończył się rok szkolny. Zawsze tak samo, dzieciarnia w mundurkach, nauczycielki z naręczami kwiatów. A ja? Jestem tu, gdzie jestem. Nie pora jeszcze na podsumowania.

*4 lipca*

To wszystko jest zwariowane. Jestem już w Wiedniu. Tym razem zatrzymałam się u Karola. Leje. Nastrój mam podły. Wiktor się nie odezwał. Co prawda, przyszedł jakiś dziwny SMS w autobusie. Moja komórka akurat straciła zasięg, albo sama go skasowałam, ale to nie mogło być od Wiktora. Gdyby to było od niego – czułabym. Zresztą, mógł przecież zadzwonić. Dałam mu aż za wyraźny sygnał, sygnał ostateczny. Boję się, że robota u Petera może mi nie wyjść. Nawet przebąkiwałam do Karola, że się wycofam. Karol zdenerwował się i powiedział, że zobowiązanie jest zobowiązaniem.

– Zachód cię tego nauczy!

– Żebyś wiedziała. Emocje to emocje, a fakty to fakty.

Karol zaskoczył mnie po raz kolejny. Rozłożył przede mną szczegółowy kosztorys. Farby też mam kupić, rachunki rozliczyć. Pędzle, ceny lamp, ewentualnej wymiany instalacji, malowanie pustych powierzchni, wszystko – nawet folie do przykrywania klozetów i wanny.

Kosztorys, projekty, wszystko w eleganckim segregatorze. Niepotrzebnie taszczyłam plecak ze swoimi farbami. Byliśmy gotowi do wyjścia.

6 lipca

Cały dzień pracy w prawdziwym wiedeńskim mieszkaniu mam już za sobą. Peter przychodził w przerwach między pacjentami. Zachwalał każdą kreseczkę, najbardziej mu się podobają żaby, poprosił też o dodatkowy nenufar. A jednak malowałam znacznie wolniej, bo prowadziłam sama ze sobą taki mniej więcej dialog:

- To cię przerasta.

- Co? Ten nenufar?

- To, że pracujesz za granicą i dużo zarobisz.

- To ci na pewno nie wyjdzie.

- Co? Ryba czy trzcina?

- Całość będzie do niczego.

- Jaka całość? Całość składa się z części. Części idą dobrze, całość sensownie zaplanowana.

W chwili kiedy już mi ręce opadały, przychodził Peter, zachwycał się i tak był radosny jak dziecko, że mi było łatwiej. Mój sierniężny niemiecki nie pozwala mi być sobą. Kiedy on coś do mnie mówi albo żartuje, chciałabym uciec, nie robić dalej, nie kończyć.

I tak cały dzień, malowałam i dialogowałam sama ze sobą. Nie odważyłam się powiedzieć Peterowi, że mam zwyczaj pracować w nocy.

Karol zjawił się po mnie punktualnie. Peter zagadywał go, wyciągał piwo z lodówki, dyskutowali o wyborach do parlamentu. Trwało to i trwało. Siedziałam zmęczona. Na schodach

Karol powiedział, że Peter jest zachwycony moim profesjonalizmem.

- Ja mniej.

- Co ci jest? Gdzie cię zabrać?

- Na basen.

- No to już.

Karol za wszystko chce płacić, podkreśla o chwile, że odpoczywa w moim towarzystwie. Był zachwycony, że może popływać. Powiedział, że bym przyjechała do Wiednia na stałe, że wynajmie większe mieszkanie i będziemy sobie żyli jak brat i siostra.

- W liceum mówiłeś o nas, że jesteśmy jak przedwojenne rodzeństwo, ale ja się w tobie kochałam naprawdę.

- Dlaczego ja o tym nie wiedziałem?

- Cała szkoła wiedziała, że się w tobie kocham.

Na pływalni było cudownie. Karol brał mnie na ręce i rzucał do wody. Ludzi nie było dużo, jakiś starszy człowiek przyglądał nam się z uśmiechem. W domu upiekłam moje ulubione tofu cynamonowe, Karol otworzył wino. Siedzieliśmy wtuleni w siebie pod kocami przed telewizorem. Karol powtórzył kilka razy, że jak para gołąbków. W końcu usnął. Przykryłam go pledem. Nie mogę usnąć - piszę. Wiktor gdzieś daleko, z kim? Jakaś rozdzierająca tęsknota. Z niechęcią myślę o tym, że mam rano wstać i jechać do pracy. Ta trema odbiera mi całą radość.

7 lipca

Dziś było lepiej. Peter wyszedł na cały dzień. Mogłam się bardziej skupić. Słowa Karola o tym, że mam zostać w Wiedniu, jakoś we mnie zapadły. Właściwie, nie mam do czego wracać. Nie mam do kogo wracać. Już wiem, dlaczego wczoraj czułam się tak źle. Czasami jedno słowo czy skojarzenie może mnie wpędzić w zły nastrój. Peter zachwycał się żabami, ale jakoś tak dziwnie nawiązywał, że my Polacy możemy być dumni ze swojej tradycji. Potem jak tłumaczył, co to jest drink, chciałam powiedzieć, że u nas niedźwiedzie nie chodzą po ulicach i po stołach. Drinka wylałam do zlewu. Może on pije przy pracy, ja nie.

Wieczorem Karol zadzwonił, że nie może po mnie przyjechać. Pracowałam dalej. Peter zjawił się dość późno i od progu zapytał, czy możemy iść razem na kolację. Czemu nie? Słownik miałam w kieszeni. Pojechaliśmy daleko za miasto. Swojskie jedzenie – tuste, ale smaczne. Byłam porządnie głodna. Wino prosto z dzbana. Wypiłam trochę i miałam ochotę już tylko na jedno – położyć się na ławie i niech się dzieje co chce. Taka byłam zmęczona. Ustaliliśmy z Peterem, że zrobimy uroczystą polską kolację, połączoną z przecięciem wstęgi w jego łazience. Miałam przygotować polskie dania. Produkty zakupi on, tylko mamy się wybrać razem do sklepu. Ożywił się wyraźnie. Nie wiem, czy sprawiło to wino, czy tak bez powodu zapytał nagle, czy od dawna jesteśmy

128

małżeństwem: ja i Karol. Wyjaśniłam, na ile mi język pozwolił, jak się rzeczy między nami mają. Wróciłam późno, Karol był wściekły, nie wiedział co się stało.

– Ten cały Peter to się jeszcze w tobie zakocha.

– Że też komuś takie bzdury przychodzą do głowy? Nie mogę usnąć. Jakie polskie przepisy? Bigos? Schabowy? Salceson? Nie baczac na późną godzinę i koszta zadzwoniłam do pani Marii. Ucieszyła się. Marcin rowerzysta wynajął u niej pokój, robią sobie kolacyjki. Marcin wzdycha, że jestem taką świetną osobą. Powiedziała, że jest zakochany. Parsknęłam śmiechem, jest przecież ode mnie młodszy:

– Ależ Patrycyo! A Loda Halama? Agata Christe? A poza tym kobiety żyją o wiele dłużej.

Ustaliliśmy polskie menu. Nie mogę zasnąć, robię listę zakupów. Prawdziwe polskie przyjęcie. Ja mam je przygotować. Czy ja byłam na prawdziwym przyjęciu? Wiem, że jest taki zwyczaj, wiem, że to zwyczaj miły, ale jakoś mnie omijały przyjęcia.

8 lipca

Skończyłam. Peter wprost wrzeszczał z radości i ścisnął mnie, trochę zbyt natarczywie. Poprosił, żebym zrobiła listę zakupów. Nie przyznałam się, że już mam. Przebrałam się

129

i usiadłam do pisania listy zakupów. On w tym czasie zrobił zapiekanki.

– Ty nie masz żony? – zapytałam tak po prostu.

– Już nie.

Zainteresował się moją listą. Wyraził podziw, że jest taka drobiazgowa. Zjedliśmy jego zapiekanki, przy herbatce Peter zapalił fajkę.

Zakupy zrobione, przytасzсzone. Pomimo tego, że jest późno, zabrałam się do pracy. Poszatkowałam kapustę, namoczyłam grzyby, orzechy zmieliłam na miazgę. Przepis na staropolski tort migdaloowo-orzechowy na szczęście mam w głowie. Zabrałam się do tortu, jest lepszy, jak postoi przez noc. Karol obiecał, że po mnie przyjedzie. Nie dzwoni – to dobrze. Krępuje mnie trochę obecność Petera. Zagląda do kuchni, wylizuje miski, koniecznie chce pomagać. Krąży między kuchnią a swoim gabinetem. W pewnym momencie zauważył mój notatnik, zainteresował się.

– Prawdziwa kobieta – powiedział. – Nie przestajesz pracować nawet w kuchni. To mi się podoba.

Na szczęście nic nie rozumiem. I tak byłam czerwona jak burak, poniekąd przyłapałam mnie na gorącym uczynku. Na uczynku zapisywania swoich myśli. Czego ja się wstydzę? Tego, że myślę?

Peter otworzył pokój gościnny i powiedział, że nie powinnam w nocy wracać do siebie. Byłam już zmęczona, nawet chętnie skorzystałam z je-

go zaproszenia. Dzięki temu bigos postoi jeszcze na wolnym ogniu. A ja mogę sobie tu uwić gniazdko na jedną noc, czyli siedzę i piszę.

Zrobiłam specjalną polewę z ziół i mocze w niej śledzie, zapach octu i przypraw korzennych rozchodzi się po całym domu.

W tym moim zabieganiu jest coś wigilijnego. Chociaż mama lubiła przygotowywać wigilijną kolację bez mojej pomocy. Do mnie należało sprzątanie, mycie okien i pastowanie.

Peter przyniósł mi swój szlafrok i swoją piżamę. Rzucił na łóżku i powiedział:

– Chciałbym, żebyś została moją żoną.

Zeszyt wypadł mi z ręki, chciałam coś powiedzieć, ale Peter zawstydził się jeszcze bardziej niż ja i wyszedł.

Najchętniej schowałabym się do mysiej dziury, ale musiałam iść zamieszać w garnku z bigosem i odcedzić śledzie. Peter wsunął się za mną:

– Nic nie mów...

– Nie wiem, co mam powiedzieć.

– Ja też. Nie gniewaj się.

Objął mnie swoim niedźwiedzim ramieniem i tak staliśmy. Na szczęście zaczęła kipieć kapusta. Wsunęłam się z jego objęć. Zaczęliśmy się śmiać, ma się rozumieć – sztucznie.

– Czuję się samotny jak pies. Ja wiem, że mnie nie zechcesz.

W tym momencie do mojej duszy wkradła się kalkulacja. Czemu nie? Zostać żoną tego ciepłego niedźwiedzia? Czemu nie?



– Peter, bardzo cię lubię...  
– Nienawidzę wypowiedzi zaczynających się od „bardzo cię lubię”. Nie kończ.  
– A ja nienawidzę, jak przypala się bigos. Idź. Koniec na dziś.

Przegoniłam go ścierką. Tylko, co dalej? Przecież nie mogę się zabarykadować w jego mieszkaniu. On prawdopodobnie poczeka, aż zgasze światło i po cichutku wsunie się do swojego własnego pokoju gościnnego. Poczulałam jego niedźwiedzie ciepło. Czemu nie? A jednak zadzwoniłam do Karola, żeby natychmiast po mnie przyjechał i o nic nie pytał.

Karol przyjechał, a Peter natychmiast posadził go w fotelu, otworzył piwo i zagadywał na śmierć. Ja padałam ze zmęczenia, a oni gadali, gadali, gadali. Zamknęłam się w kuchni. Gdy wyszłam, Karola już nie było. Nie powiedziałam ani słowa. Wykąpałam się w mojej łazience. Widziałam same błędy w robocie: ściana troszeczkę wali się na lewą stronę, a Anioł jest zbyt smutny. Postanowiłam wstać wcześniej i to poprawić. Albo jak Peter zabierze się za uszczęśliwianie swoich pacjentek.

*18 lipca*

Nie wiem, czy uda mi się poskładać fakty w kolejności, tak jak to się działo. Zresztą, jakie to ma znaczenie, przecież nie prowadzę kroniki mojego życia. Piszę, bo to mi sprawia przyjem-

ność. Piszę, bo jakoś to mi pomaga utrzymać równowagę. No więc: jestem już w Krakowie, w moim własnym, przygotowanym specjalnie dla mnie pokoiku, malenkim jak pudeleczek i sama nie wiem, czy wszystko, co się wydarzyło jest prawdą, czy to tylko sen, z którego się zaraz obudzę?

Odnosić wypada, że w piżamie Petera, której prawdziwy kłauw by się nie powstydział, wsunęłam się do łóżka i poczułam chłód prawdziwej pościeli z adamaszku. Zgasilałam światło. Jeszcze pamiętam, że pomyślałam: „niech się dzieje, co chce”. Wewnętrznie szykowałam się do tego, że zostanę zniewolona i zmuszona do małżeństwa z niedźwiedziem. Myślałam, że nie będę miała innego wyboru, a co najistotniejsze: nie będę musiała podejmować w tej sprawie decyzji. Zamknęłam oczy i to się stanie. Zamknęłam oczy, owszem, ale w tej samej sekundzie usnęłam. Mogłam nawet chrapać, to mi się zdarza, kiedy jestem bardzo zmęczona.

Pisać? Nie pisać? Napiszę. Obudziło mnie coś dziwnego, jakieś niejasne poczucie, że coś jest nie tak. Peter siedział na brzegu mojego łóżka i płakał. Chciałam zamknąć z powrotem oczy, ale on zauważył, że się obudziłam.

– Jesteś taka piękna.

Owszem, mam pewne walory, ale widziałam w swoim życiu piękniejsze kobiety, on chyba też. Chociażby Ela.

Płaczący niedźwiedź, świt, świadomość pracy, jaka mnie czeka. Wspomnienie poprzednie-

go wieczoru... Peter pogładził mnie po policzku i skierował swoje zwałiste ciało do drzwi. Chciałam go zatrzymać, chciałam coś powiedzieć. Rano wydawało mi się, że to był sen. Kiedy wyszłam z łazienki, Peter był już ubrany i zaprosił mnie na śniadanie. Pachniało kawą, wiedeńskim pieczywem, masłem, konfiturą. Peter był w innym nastroju, żartował, że zjadł w nocy całą kapustę, że na polskie przyjęcie zamówi pizzę. Patrzyłam na niego i nabierałam pewności, że to był sen, że to nie on siedział na brzegu mojego łóżka.

Po śniadaniu Peter poprosił mnie o dokumentację, bo musimy się rozliczyć. Był chłodny, rzeczowy, zupełnie inny niż przy śniadaniu. Przemknęło mi przez myśl pytanie, dlaczego ta jego żona nie mogła go znieść? Dlaczego odeszła? Dałam mu cały skoroszyt z rachunkami, powiedziałam, że rachunek za pracę przysię mu faxem, a oryginał pocztą. Nie wiedziałam, gdzie mam szukać Wiktora. Karol zorientował się w cenach i ustaliliśmy honorarium, średnio średnio, jak się wyraził.

Zabrałam się do pracy. W południe miałam już prawie wszystko gotowe. Lubię sytuacje, w których muszę myśleć tylko o tym, jaki mam postawić następny krok, bez tych tasemcowych deliberacji, od których wpadam w depresję.

Peter zawiązał mi do swojego gabinetu, gdzie przyjmuje pacjentów. Usiadł przy ogromnym mahoniowym biurku, ja na krześle obok. Powiedział, że jest pełen podziwu dla mojego

profesjonalizmu, że rachunki zachowuje. „A to – pokazał brudnopis mojego rachunku za pracę – to zrobimy tak.” I podari. Peter postanowił, że nie odliczy sobie sumy za moją pracę od podatku, jedynie materiały, a mnie wypłaci całość, żebym uniknęła – jak się wyraził – przykrej sytuacji podatkowej w moim kraju. Zaskoczyło mnie to. Może gdyby nie konieczność szukania Wiktora, zachowałabym się inaczej. Wzięłam pieniądze. Wzięłam pieniądze, przeliczyłam na jego oczach. Jeszcze nigdy tyle nie zarobiłam. Nie wiem, co mnie napadło: oddałam mu przeliczoną sumę z powrotem. Naprawdę chciałam wziąć i nie użerać się z urzędem podatkowym. Nie wiem, co mnie powstrzymywało, może jej wysokość? A Peter uśmiechnął się i zaczął składać podarty rachunek. To nas bardzo rozbawiło i rozładowało atmosferę. Kiedy rachunek był już starannie posklejany taśmą, Peter przekreślił cyfrę ostateczną i wpisał większą o 200 Euro. Powiedział, że przeleje mi na konto, jak przyjdzie rachunek, a teraz żebym wzięła zaliczkę. Owszem, wzięłam. I wróciłam do kuchni.

Pojechałam do centrum, po świeże kwiaty. W Krakowie tak łatwo kupuje się kwiaty, są piękniejsze. Ale coś mi się udało. Kupiłam też świece.

Nakryłam do stołu. Skąd ja to wszystko umiem? Zawsze mi się wydawało, że urządzenie prawdziwego przyjęcia to dla mnie sprawa nie do wyobrażenia, że to coś nadzwyczajnego.

Kiedy wszystko było gotowe przyszedł Peter i przyprowadził dwie młode dziewczyny do pomocy. Były to studentki psychologii, jedna była Polką z Rzeszowa. Taka sobie na pierwszy rzut oka szara myszka z aparatem ortodontycznym na zębach. Dotarła aż tu, do Wiednia. W mig się dogadałyśmy. Udzieliłam instrukcji co do kolejności dań i konieczności zadbania o tych, którzy są zdeklarowanymi wegetarianami. Uczuliłam, żeby nie przegrzać barszczu i pojechałam taksówką do Karola. I tu się dopiero zaczęło. W co ja mam się ubrać? Karol pocieszał mnie, jak umiał. Mówił, że mogę wystąpić nawet w worku, albo w bieliznie, a i tak będę gwiazdą wieczoru. Urządził mi awanturę, że mnie zostawił w nocy na pastwę tego austriackiego wielkoluda. Przepraszał, powiedział, że to nie byłoby takie złe, gdybym została w Wiedniu. Tak naprawdę, to Peter wypchnął go prawie z mieszkania i dał do zrozumienia, że ja też tego chcę.

Samo przyjęcie udało się tylko dzięki temu, że Peter jest bezpośredni i dziecinny. Wstęga w łazience została ceremonialnie przecięta. Peter wcześniej przygotował ręczniki, pary mogły wchodzić razem, żeby wykapać się w jego łazience. Kilka osób wstępnie umówiło się ze mną na robienie łaźni, a para muzyków – na projekt letniego domku. Ela przyszła spóźniona. Ucieszyłam się, poza krótkimi rozmowami przez telefon nie widziałyśmy się. To przecież jej zawdzięczałam ten wieczór na moją cześć.

W pewnym momencie jeszcze raz zadzwonił dzwonek i wszedł Wiktor, z aparatami i z kamerą. Przywitał się z Peterem, kiwnął do zebranych przy stole, spytał, gdzie jest łazienka. Na mnie nawet nie spojrział. Pomyślałam, że mnie nie widział. Po kilku minutach wszedłam do łazienki.

– Czy możesz mi nie przeszkadzać w pracy? Tak powiedział, chociaż teraz wypiera się, że powiedział cokolwiek. Wycofałam się. Ale nie mogłam zapłakana iść do stołu. Wszedłam do kuchni. Dziewczyny rzuciły się na mnie z pytaniem, co mi jest i czy te austriackie świnię mnie skrzywdziły. Powiedziałam coś, już sama nie pamiętam co. Jedna z nich przyniosła mi puder.

Kiedy wróciłam do stołu, atmosfera była już rozluźniona. Wegetarianie dokładali schabowe. Zachwalali delikatność polskiej kuchni, mówili o Sobieskim i demokracji polskiej z XVI wieku. Eli nie było. Peter powiedział, że jej redakcja pilnie czegoś potrzebowała i musiała wyjść.

Nie miałam już siły uczestniczyć w reszcie wieczoru, a na dodatek Karol tak się spoufalili z Peterem, że zupełnie przestał trzymać moją stronę. W salonie dziewczęta podały tort migdałowo-orzechowy i z boku postawiły stertę naleśników z masą orzechową. Patrząc na te naleśniki, specjalność mojej mamy, nie omieszkłam sobie popsuć humoru wspomnieniem, jak mnie zgubiły. Nigdy nie mogłam pohamować się i odmówić мамie skosztowania naleś-

nika z masą orzechową. Wyrzuciłam się w liczbie pojedynczej, ale to żaloszny skrót tego, co było naprawdę.

Peter był upojony. Dosłownie. Goście zaczęli topnieć. Zostaliśmy tylko we troje: Peter, Karol i ja. Karol w pewnym momencie, chciał się wycofać. Spojrzałam na niego tak groźnie, że został. Wyglądało to mniej więcej tak, że Peter patrzył na niego groźnie, żeby się wyniósł. A ja patrzyłam groźnie, żeby nie śmiał się ruszyć. Miałam wyjść razem z nim. Byłam po prostu pijana. A Peter dolewał i dolewał.

Była chyba trzecia nad ranem, kiedy ktoś przyszedł. Peter zataczając się zniknął w głębi korytarza. Nie, nie pomylił mnie słuch. To był Wiktor. Wszedł, zapalił górne światło i powiedział:

– Patrycja, jedziemy do domu.

Wstałam, zachwiałam się, usiadłam. Już teraz nie jestem pewna, ale Wiktor wmawia mi, że usiadłam na podłodze. To chyba nieprawda.

– A moje rzeczy? A paszport?

– Są w bagażniku.

Odwróciłam się do Karola:

– Ty, zdrąco.

Jakim cudem znalazłam się w samochodzie, jakim cudem przejechałam dwie granice – nie pamiętam. Spałam, albo mi się wydawało, że śpię. Podjechalśmy pod kamienicę, gdzie Wiktor ma swój strych. Wsiadłam z samochodu, a on powiedział:

– Teraz to będzie twój dom.

Wiktor istotnie przemeblował strych. Wyprowadził się z pracownią gdzieś za miasto. W miejscu pracowni zaaranżował przestronny, pełen światła salon i przylegający do niego aneks, który uparczywie nazywa pokojem dziecięcym. Jest bardzo opiekuńczy i czuły, nie odstępował mnie na krok przez trzy dni i trzy noce. Gadaliśmy, jedliśmy dobre rzeczy, kochaliśmy się i tak w kółko. Teraz wyszedł, więc usiadłam, żeby uporządkować swoje sprawy. Litery z trudem układają się w zdania. W głowie mam pustkę i tylko niejasne, gdzieś z głębi serca płynące uczucie, takie samo jak wtedy, kiedy przecierałam szmatką zakurzone szyby, że się budzę.

*22 lipca*

A więc stało się – jest przy mnie ktoś, kto nie ma nikogo innego, jest rano, jest wieczorem, jest nawet w ciągu dnia... Jest. Jest. Jest. Powtarzam sobie to słowo wielokrotnie. Jest.

*23 lipca*

Pieniądze z Wiednia jeszcze nie nadeszły, ale Wiktor jest zdania, żeby nie szaleć, bo nie wiadomo, jaki będzie przyszły sezon. Zapropozował na lato wyprawę na wyspę. Jest taka

mała wysępka niedaleko Trzebieży, gdzie stoi tylko budynek latarni morskiej. Mieszka tam latarnik i jego żona. Po zakupy będziemy wyprawiali się łodzią. Zamieszkamy w namiocie. Wiktor będzie łowił ryby, robił zdjęcia. A potem zastanowimy się, co dalej.

c. d. n.